



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Wydawca Michał Glücksberg

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KANTORZE Drukarni

Piotra Laskauera i S-ki.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

Ziarnka gorczyczne.



W numerze 15-ym „Bluszcza” redakcyja wystosowała odezwę do panien, wzywając je, do wypowiedzania się szczerze i sumiennie ze swoich dążeń, potrzeb, poglądów, pragnień, ideałów i t. d., i t. d.

Ma to być spowiedź gruntowna i szczerza, co bez zapuszczenia sondy we własną duszę jest niepodobne; lecz dla niejednej z wezwanych, takie zbadanie swego duchowego „ja” będzie niewątpliwie trudnem zadaniem, o ile nie nawykła od dzieciństwa do zdawania sobie sprawy z wrażeń swych, uczuć, zależności swej od otoczenia, społeczeństwa i *vice versa*, wreszcie odpowiedzialności, jaka na niej ciąży.

Że redakcyja podjęła zadanie i zacne, i rozumne, i ogromną korzyść sprawie kobiecej przynieść mogące, o tem chyba dwóch zdań sprzecznych być nie może.

Z największą też zapewne ciekawością, oczekują czytelniczki „Bluszcza,” licznych odpowiedzi.

Ja dodam od siebie, jeśli szczerść w tych wyznaniach jest niezbędną, to ze stosu listów wybrałabym przede wszystkim te, które nie będą opatrzone podpisem, bo w nich jedynie szczerza dusza wyłoni się z powijaków próżności, chęci pozowania, błysnięcia szumnym fajerwerkiem komunałów etc.

Celem moim jest zaznaczyć, iż punktem ciężkości jest tutaj to, co sama *czuje* i *myśli* dzisiejsza dziewczyna, a nie to, co w kwestyi kobiecej mówią i myślą inni.

A zatem: żadnych komunałów, żadnego szablону! Szczerść i prostota—oto dwa hasła, pod egidą których młode panny niech przystąpią do tej spowiedzi.

Przed spowiedzią wszakże, rachunek sumienia jest konieczny i to będzie piętą Achillesową młodziutkich penitentek.

Tak trudno zdobyć się na surowość względem siebie samych, a ostrzegam, że surowość będzie tu niezbędną.

Młode panny, młode dziewczyny, to Cheruby, to cudne kwiaty w naszym ogrodzie społecznym.

Powtarza im to bezustannie pleć silniejsza, śpiewają poeci i każdy niemal godzi się na te definicje z ochotą.

Lecz dowiedzionem jest, że zbyt pieszczoty psują i, bodaj, czy to się właśnie nie dzieje z większością naszych pieszczotek. Uczą się one za młodu wymagać wiele dla siebie, często w zamian nie prawie nie dając i zupełnie seryo biorą swoją rolę kwiatów. Lecz wonne róże i lilie śnieżno-białe zachwycały oko i powonienie, co było ich celem i przeminą bez śladu, zaś kobieta-kwiat, o ile nie zdaje sobie sprawy z celów istnienia, a raczej za cel taki uważa wszystko, co służy do rozbudzenia najniższych instynktów męczyzny, to nie kwiat, lecz chwast, najszkodliwszy na niwie społecznej.

Jeden z pesymistów, widzących w kobiecie wroga męskiej połowy rodzaju ludzkiego, rzekł do mnie ze złośliwym uśmiechem po przeczytaniu w „Bluszcza” odezwę do panien: „Nad czem tu głowę łamać? Wszystkie dążenia, pragnienia, ideały tych miłutkich lekkoduchów, można streścić krótko i węzłowato: wyjść za mąż, móżdż jaknajwiększą sumę pieniędzy rozrzucić po sklepach i magazynach, mieć salony, bywać na balach, przytem uprawiać flirt, jako niewinną zabawkę, a co do duchowych aspiracyi, to: *après nous le deluge*.”

Na szczęście, jedna jaskółka nie przynosi wiosny, a surowego tego sądu do ogółu naszych panien zastosować nie można.

Zarzut lekkoduszności atoli, zasługuje na bliższe rozpatrzenie, gdyż, niestety, część prawdy w sobie zawiera.

Niewdrożone, jak wspomniałam wyżej, od dzieciństwa, do porządnego myślenia, do surowej kontroli swoich zachceń, porywów, dążeń, wiele młodych panien czuje odragę do wszystkiego, co jest duchową stroną życia. Ujawnia się to przede wszystkim, w niepokonanym wstręcie do wszelkiego, poważniejszego czytania. Zastrzegam się, że mówię wprawdzie o większości, lecz bynajmniej nie zaprzeczam istnienia mniejszości, której umysły potrzebują gruntowniejszej strawy.

Niechaj jednak uderzą się w piersi skrycie te z panienek, które, wzięwszy w rękę numer jakiegoś czasopisma, z kwaśną i znudzoną miną, odwracają oczy od wszelkich powa-

żnych artykułów, rzucając się natomiast skwapliwie na lekką beletrystykę, wiadomości z dziedziny mody, życia towarzyskiego, nowinki brukowe i t. d.

Czegoż to dowodzi?

Powtórzę chyba z Miriamem: „Nienawiści do wszelkiej głębi, do wszelkiej duchowości, do wszelkiego zapалу, czy wzlotu.“ („Walka ze sztuką“, Miriam.)

Ilustracją powyższego dowodzenia, są sprawozdania pism codziennych w sprawie kobiet (Z najważniejszych: Odczyt d-ra Józefa Zawadzkiego „O byt i zdrowie pracownice warszawskich“ i dwa pierwsze odczyty p. Atanazego Bardzkiego „O umysłowej pracy kobiet.“)

Toż wobec kilku, chyba kilkunastu tysięcy panien, zamieszkujących Warszawę, sala odczytowa powinna być literalnie zatłoczona.

Toż tam się roztrząsają najżywotniejsze dla nich sprawy.

Tymczasem zastęp panien obecnych na odczytach, ma się do ogółu panien inteligentnych warszawskich w stosunku kropli do oceanu.

A i z zachowania się młodych panien, z ich szczebiotania, gdy opuszczają salę, wyciągnąć można wniosek, iż wrażenie otrzymane nie przejdzie po za ściany odczytowej sali.

I znów pytanie: czego to dowodzi? A odpowiedź brzmi niewesoło: Kto się nurza w poziomych celach i sprawach żywota, kto nigdy nie próbuje wznieść się ku wyżynom, ten w mule powszedniości ducha utopić musi.

Oto, co mówi Miriam: „Obniżenie poziomu dusznego w obecnych czasach doszło do ostatecznych granic. 99% tego, co się szumnie zwie dzisiaj inteligencją, życiem swem zadaje kłam racji swojego istnienia.

„Trudno znaleźć dzisiaj człowieka z trochę milczenia, wrażliwości i cichego a gorącego zapалу. Nikt dziś prawie nie żyje, nie czuje, nie myśli dla siebie, dla zgłębienia, rozszerzenia i podniesienia własnej duszy. Same cele doczesne i przemijające; o wielkiem słowie: „Cóż mi przyjdzie, choćbym świat cały zyskał, jeżeli duszę swoją stracił“, nikt zdaje się nie pamiętać.“ (Patrz: „Walka ze sztuką“).

Jest znów cały zastęp młodych dziewczyn, które coś rozumieją, coś odgadują bezwiednie, takie, u których duch po przez grubą powłokę materii gwałtem usiłuje się przedrzeć i odzyskać należne mu nad nią prawa. Tym, nieobce są z imienia: prądy, zagadnienia, hasła społeczne, te czytają i usiłują myśleć, lecz przetrwać rzeczy czytane we własnym umyśle, porównać je z zasobem swych pragnień i pojęć i wytworzyć z tego wszystkiego własne postulaty—nie są w możności. Przyczyna—jak wyżej: niezdolność porządnego myślenia.

By wyleczyć zastarzałą malaryę ducha, długiej i trudnej kuracji potrzeba. Lecz dla młodych i zdrowych organizmów, u których malarya taka lekką tylko drzemką się objawia, kilka ziarenek gorczycznych wystarczy aż nadto. A przerwanie tej drzemki duchowej jest nieodzowne, jeżeli rachunek z samą sobą, do którego wzywa swe młode czytelniczki, redakcja „Bluszczu“, ma przynieść tę korzyść,

jakiej się inicjator kwestyonaryusza dla panien spodziewa.

Wanda Grot-Bęczkowska (Korotyńska).



NA WERENDZIE.

(Pogawędka).



W wigilię wyjazdu Henryka Sienkiewicza w Pireneję, odwiedziłem go w jego warszawskim mieszkaniu.

Kawa czarna, koniak i papierosy uprzyjemniały pogawędkę, która szybko z przedmiotu na przedmiot przebiegała, jak to zwykle bywa, gdy ona jest rozrywką po pracy, odpoczynkiem koniecznym po wysiłku umysłowym.

Właśnie mówiliśmy o tym wysiłku i zmęczeniu, których następstwem jest oczywiście brak fantazyi, niezdolność tworzenia, jakaś anemia mózgu. Autor „Bez dogmatu“ opowiadał mi rzecz taką o sobie:

„Pisząc „Quo vadis“, doświadczyłem czegoś podobnego. Oczywiście, że powieść moją pisałem z numeru na numer, i to w różnych zakątkach Europy, bo wszystkie moje większe prace są pisane w podróży. Do skończenia powieści wyżej wspomnianej brakowało rozdziałów paru, ale wziąć się do ich napisania nie sposób było. Zmęczony mózg wymawiał posłuszeństwo, fantazyja za lasy i góry uleciała, siła twórcza do minimum zeszła. A tu otrzymuję list za listem: „Gonimy już resztkami rękopisu, na gwałt o przysłanie ciągu dalszego prosimy.“

„Byłem w rozpacz... Daremny wysiłek myśli, przymuszanie się do pracy—błysk jeden nie rozjaśnia ciemności, w którą zmęczona pogrążyła się dusza.

„Działo się to w jednym z miast włoskich. Miałem tam znajomego lekarza, do którego nie tak po radę, jak z narzekaniem na smutną dolę moją poszedłem.

— Mam środek—on mi na to. — Oto jest wino, którego kieliszek wypijesz pan na dwie godziny przed wzięciem się do pracy.

I dał mi jakiś napój ciemny, w którego skuteczność, powiem otwarcie, nie zupełnie wierzyłem.

Ale bywają ostateczności, że i ludzie do znachorów się udają, a to był przecie doktor medycyny i nie szeptał, nie splotał, jeno butelczynę wina mi dawał.

Uczyliłem tak, jak zalecił.

Na dwie godziny przed wzięciem pióra do ręki wypilem kieliszek owego cennego napoju. Mastkie to, mocne, z odcieniem pewnym słodczy było. W chwili, gdy usiadłem do pracy, jakaś moc tajemnicza zaczęła mi otwierać wrota do krainy zaczarowanej. Świeżość umysłu wróciła, fantazyja rozbudziła się, przez mózg zaczęły się przesuwac obrazy piękności cudownej. No i widzicie, jak Petroniusz umarł, jak Eunice, niby róża biała, pochyliła się w jego ramiona.“

O, wino czarodziejskie, wino cudotwórcze—jakżeby dziś ciebie potrzebował. Wprawdzie

nie potrzebuję tak bardzo rozbujania się fantazyi, przygodną pisząc kronikę; wprawdzie, że żaden Petroniusz w pozie klasycznej nie ułoży się przed wami, że bluszcze ramion cudownej kochanki Rzymianina nie owijają miłośnie szyi jego—ale gdy łeb zmęczony, fantazyja chrapie w najlepsze, a codzienne wypadki miasteczka naszego są takiej natury—że, Boże odpuść!... czarodziejskiego wina człowiek z garniecy wypił, na czemby autor, ani czytelnicy wcale nie stracili. Wspaniałomyślny autor „Quo vadis“ nie ukrywał nazwiska zaczarowanego napoju, ale cóż z tego, gdy w naszych aptekach i winiarniach dostać go nie można. Pozostaje więc tylko pragnienie niezaspokojone, życzenie pobożne, westchnienie stłumione i baczne rozejrzenie się do koła, czy jakiejs nie złowi się nowości.

Niestety! czas niespodzianek minął; życie nieznośnym, zegarkowym ruchem idzie naprzód, a idzie tak dobrze znajomymi drogami, że już za nudno się robi. Ani się ziemia nie trzęsie, ani się słońce nie zaćmiewa; dni tak są do siebie nie podobne, jak krople wody, a tak szare, jak... myśli nasze. I gdzież tu piersią Farysa odetchnąć, wyciągnąć się jego ramionami?!...

— Do porządku, panie kronikarzu—do porządku!...

Dalipan, że choć raz chciałbym być w nieporządku; a tu na chwilę zapomnieć nie można, że się ma do czynienia z wami, piękne czytelniczki, które we wszystkim lubicie porządek, i za naruszenie jego z dąsem może spojrzelibyście na mnie—a tego nie chciałbym przecie. Gniew wasz może być miły nawet, lecz nie w wypadku danym; nie chcąc tedy łaski waszej stracić, nie podniecony cudownem winem florenckiego lekarza, dmucham w palce, siadam na werendzie i—i...

Drzwi się otwierają i wchodzi—nie, wpada jeden z dobrych znajomych moich.

— Napoju cudowny!—wołam, wyciągając ramiona. — Zkąd przybywasz? co niesiesz?... gadaj, bo jestem w rozpacz!

— Ba!...

Zadziwiłem się.

— Czego się dziwisz?

— Bo nie rozumiem, co mówisz?

— Ba!—ba!—ba!... Czy zapomniawsz znaczenia tego wyrazu?

— Nie—ale... ba!... Chyba chcesz mówić o majówce jakiejs, zakończonej improwizowanymi tańcami?

— Ale nie... Mówię ci bał, bał formalny, i to jeszcze w kostyumach.

— Tu—w Warszawie?

— A gdzież?...

— Publiczny?

— Nie—prywatny... U pani Mary—i właśnie mam od niej list do ciebie. Oczywiście, że pani Mary nie odmawia się; nie tylko więc ciebie oczekuje, ale nawet ma nadzieję ujrzenia waćpana w błękitnym, pąsowym lub złotym fraku.

— Ja mam być we fraku błękitnym, złotym lub pąsowym? Wiesz, mój kochany, że zawsze ulegam woli niewiast i ich wdziękowi, ale papuzich usposobień nie miałem nigdy i—jeżeli będę na balu, to będą w najzwyczajniejszym czarnym fraczku.

— Ty jeden więc pod tym względem od-

staniesz od całego towarzystwa, ty jeden tylko masz prawo wyłamać się z pod ogólnego prawidła, i to pod warunkiem, że dziś jeszcze przedefiluja przed tobą Rusalki, Goplany, Dyany, Amorki, Chochliki i inne dusze i duszyczki, aby twoje oko znawcze spoczęło na nich.

Wiedząc, że pani Mary nie można w niczem odmówić, bo gniewać się będzie i na czas pewien przyjaźń mi swoją wypowie, położyłem pióro i poszedłem do jej mieszkania, które w istne zacisze czarodziejki się przemieniło. Z załomu gżemu każdego wyzierały figlarne główki bóstw jakichś; ściany zdobiły girlandy kwiatów przepysznych; — a oto na znak przez gospodynię dany rozpoczęła się defilada. Tiule, gazy, muśliny osłaniały kształty przesliczne; wszystko to było lekkie a krótkie, bo jedna Goplana tylko miała strój powłóczysty i zadumę na czole; cały zaś jej orszak śmiał się a dworował. Nic do zarzucenia, nic do poprawienia nie miałem; salon, tancerze i tancerki przeslicznie wyglądać będą przy oświetleniu kinkietów, czułem tylko żal, nieuzasadniony wprawdzie, do pani Mary, że ów wiosenny bal kostiumowy — odbędzie się już po napisaniu pogawędki niniejszej. Podzieliłbym się z wami wrażeniami doznanymi i kto wie, czyby on nie zastąpił mi choć w części owego Sienkiewiczowskiego napoju.

Ale, czy myślicie, że to majowy bal u pani Mary jedyny jest w tym zaczynającym się sezonie wiosennym?...

Bynajmniej!

Krótki karnawał, snadź, nie zadowolił Warszawiaków i Warszawianek; bawią się, jakby nowe rozpoczęły się zapusty, no — dobrze im jest, dlaczego hulać nie mogą?

Ale bal kostiumowy u pani Mary, chyba ostatnim już będzie w onej porze róż i słowików.

Spytacie, czy jestem zachwycony pomysłem?...

A no — zabawa się uda, oczy będą olśnione, kieszenie opróżnią się trochę... ale zadość wesołości się stanie.

Powróciłem do siebie i zastałem u drzwi mojego mieszkania młodzieńca. Był to student, w rękę trzymał zwinięty rulonik papieru, przedstawił mi się i prosił o chwilę rozmowy.

— Słucham pana.

— Przepraszam... może przeszkadzam...

— Nie, panie, właśnie powróciłem do domu. Czem mogę służyć?

— Oto krótki zbiorek moich poezji... Możeby pan przejrzał — warte to co, czy nie?

Przeczytałem wierszyków parę i dostrzegłem prawdziwą iskrę talentu.

— Drukowałeś pan już kiedy?

— Nie... Chciałem pana prosić o umieszczenie tych kilku próbek — powiedział z pewnem oniesmieleniem.

— Trudno będzie — bo jakkolwiek ładne to są rzeczy, lecz wszystkie pisma mają nawał prac poetycznych.

Młodzieniec zbladł.

— Ale postaram się... Czy panu o pospiech chodzi? — dodałem.

Młodzieniec oczy spuścił i szepnął ledwie dosłyszalnym głosem:

— Jeść mi się chce.

Czy dalej mam mówić?...

Zbyteczne!...

Przed moimi oczyma rozegrała się tragedia wielka. Błękitne i pasowe fraki, Dyany, Amorki i Goplany, i ta twarz blada i ten szept cichy — studenta... Wiosna, życie, czar i upojenie — a oto przedemną malutki zbiór wierszy, pisanych ręką drżącą, kilka sonetów bardzo ładnych i — bardzo smutnych; jakiś żal cichy, nie chcący jeszcze w krzyk rozpaczy wybuchnąć, bo wiosna, bo życie, bo nadzieja uludnie się uśmiechają. Gdyby człowiek własnych bólów i cierpień nie miał — cierpienia innych, wielkim krzyżem zwałyby mu się i tak na barki!...

Czas radości, upojen wiosennych i — wyścigów!... Próby zniesienia totalizatora, jak na teraz, nie udały się. Plac zalegają tłumy, fala złota z kieszeni do kieszeni przepływa. Rozpoczęły się już trenningi wyścigowców, dżokeje panów naśladują słynnego Sloana.

Rok rocznie trzy miliony rubli przesuwają się przez okienka totalizatora i — ginie...

Gdzie? na jaki cel?...

A oto cieszyński wydział „Macierzy szkolnej“ ogłasza w pismach odezwę, zawierającą pogląd na stan finansowy instytucji. Wydział oblicza, że na utrzymanie szkoły ludowej oraz gimnazjum polskiego w Cieszynie, aż do jego upaństwowienia, które ma nastąpić dnia 1-go stycznia 1904-go roku, potrzeba będzie 95,032 korony. Koszta utrzymania obu zakładów do końca bieżącego roku wynosić będą 26,352 korony. Tymczasem w posiadaniu „Macierzy szkolnej“ znajduje się tylko 14,899 koron. „W takich warunkach — powiada Wydział, — jeżeli nie zbierze się jeszcze potrzebna suma, trzeba by zamknąć oba zakłady z niepowetowaną szkodą dla nas, a ku wielkiej radości Niemców. Nie dość było zacząć — trzeba dokończyć dzieła. Nie dość w życie wprowadzić — trzeba utrzymać“

Wiosna, czar, upojenie — to wszystko bardzo jest dobre, ale wtedy tylko, gdy się tych darów Bożych używa po dniu dobrze spędzonym, po wypełnieniu najpierwszych i najświętszych obowiązków. Mędrcom był ten, kto powiedział: Chcieć to móżdż!... Jak potrzeba tworzy wynalazki, tak chęć silna, wynajduje sposoby i środki do wcielenia pragnień. Bezsilne jest tylko pojedyncze pragnienie, lecz wola skupiona mas — tworzy potęgę. A czas jest taki, że potrzeba się nam zwrócić do Chrystusa i dużo umiłować i dużo przebaczać i na Jego święte słowa pamiętać, gdy, idąc na modlitwę przed wielkim dniem cierpienia, zwrócił się do uczniów swoich i powiedział:

— Czujcie!...

Ale cóż to? kazanie?

Nie — przypomnienie tylko... Fraki błękitne, blada twarz studenta, wyścigi i ta „Macierz szkolna“ różne mi nasunęły myśli, które i sercu waszemu obcemi nie są.

Z nastaniem pięknych dni wiosennych tu i tam rozpoczęły się uroczystości sadzenia drzewek. Piękny to zwyczaj, zdaje się, że przeniesiony do nas z Ameryki. Działwa wciąż gnięta do tej pracy, wesoło a pożytecznie chwil parę przepędza; przyzwyczajają się zresztą do szanowania tych drzewek, sadzonych przez siebie, a prawdę powiedziawszy, dużo

u nas szkodników było; złamanie gałązki, okaleczenie drzewka nie należało wcale do czynów karygodnych. Tymczasem to drzewko *moje* musi być pielęgnowane i szanowane, a że takich *własności* z czasem tysiące i krocie tysięcy się zbierze — samo się przez się rozumie, że — ażeby ta *moja* własność uszanowana była, muszę i cudzą uszanować także.

Uroczystość podobna odbyła się niedawno w Żyrardowie dzięki ks. Żaboklickiemu, który z prawdziwą kapłańską gorliwością wziął się do zaprowadzenia tego pożądanego zwyczaju. Oto, co czytamy w jednym z pism codziennych o tem święcie:

„Krzatający się wciąż około dobra bliźniego i społecznego proboszcz, ks. Żaboklicki, urządził dla działwy szkółek tutejszych święto sadzenia drzewek.

Działwy płci obojej zebrało się z górą 1,200 pod przewodnictwem wychowawców i wychowawczyń na cmentarzu katolickim, dokąd proboszcz w asystencji wikaryuszów przybył o godzinie 3-ej po południu.

Po poświęceniu drzewek, chóry działwy pod kierunkiem pp. Kwiatkowskiego i Donaja, wykonały spiewy okolicznościowe, nawiasowo mówiąc, bardzo ładne, poczem proboszcz w nader podniosłej mowie, zastosowanej do umysłu dziecięcego, objaśnił znaczenie dnia dzisiejszego, oraz pożytek z drzewek w ogóle, a w szczególności sadzić się mających, polecając dzieciom opiekę nad drzewkami.

Działwa zawczasu zaopatrzona w motyki, konewki i kubły ochoczo wzięła się do pracy. Ogółem proboszcz zasadził 450 drzewek, które wysadzono na nowo przybranym cmentarzu.

Po zakończonej uroczystości działwę ugoszczono w miejscowej herbaciarni ludowej herbatą i ciastkami. Podobną uroczystość urządza pastor miejscowy gminy ewangelickiej, p. Wosz, dla działwy tegoż wyznania.“

Nie tylko cmentarze, ale i drogi publiczne drzewkami podobnymi wysadzone być powinny. Szlachetna zabawa z ogólnym pożytkiem jest połączona, a pożytek łączy się tu z pięknem i ma umoralniające zadanie.

Bądź co bądź, o wygodę i piękno mało jeszcze dbamy.

Zbliża się chwila wyjazdów na letnie mieszkania. Ja, ty, pracujący uczciwie rok cały w murach miejskich, potrzebujemy, jeżeli nie spoczynku, to przynajmniej odpoczynku w innych, niż dotąd, warunkach. Do nich należą: powietrze, zieleń i jakie takie mieszkanie, gdziebyśmy mogli na czem usiąść i na czem do snu się ułożyć.

Ale nic z tego.

Za mieszkanie naznaczają ci cenę niegorszą, lecz gołe ściany jeno znajdziesz. Musisz z Warszawy brać z sobą wszystkie niemal utensylia, by mieć w czem kawę ugotować, przespać się na czemś i usiąść przy czemś. Jeżeli sam jesteś, to nie bardzo na to zważać będziesz, ale jeżeli wyjeżdżasz z rodziną — to chyba tylko pragnienie powietrza, powietrza i powietrza, zmusić ciebie może do porzucenia wygodnego warszawskiego mieszkania. Pomimo tego porzucasz Warszawę i jedziesz. Jedziesz — bo jak snu, tak szerszej potrzebujesz przestrzeni — i o tem wiedzą właściciele domków na wsi — za cenę wyrubowa-

na dają ci parę stołków, łóżko złamane, słomę na pościel musisz sam kupić i na miejscu w rądle, garnki i tym podobne rzeczy się zaopatrzyć.

O, cywilizacyo! która wygodę dajesz — zajrzyj i do tych zakątków sielskich, gdzie znajdują się mieszkania letnie...

Kazimierz Głiński.



Julia Terpiłowska.



PRZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Ciąg dalszy).

Kanonik się uśmiechnął.

— Pan Bóg musi być sprawiedliwym, bo inaczej nie byłby doskonałym. Czy pani, co lada fatalaszkę przeplacasz, znalazłabyś sprawiedliwym, gdyby komu dano szczęśliwą wieczność — za nic?

— No, przecież nie za nic! Ja nieraz daję na msze, aparaty do kościołów sprawiam.

— Chcesz pani za pieniądze kupić Boga? Takie ofiary dobre są tylko, jako przydatek do ofiary głównej i nieodzownej, którą stanowi osobista zasługa nasza: a tą jest umartwianie się za grzechy nasze, poskramianie leniwej rozkoszniczy—zepsutej natury naszej, chętnie pełnienie ciężkich obowiązków naszych, — słowem ciągła praca w pocie czoła nad udoskonaleniem naszym w celu podobania się Bogu.

— Ksiądz Kanonik mówisz zupełnie tak samo, jak rodzice mego męża, kiedy są w kaznodziejskiej wenie... Ja wiem to wszystko, i nawet uznaję za powinność; — ale jak dla kogo. Jeżeli kto ma tak delikatne nerwy i tak drażliwe usposobienie, jak ja, od tego Pan Bóg nie może wymagać spełnienia rzeczy, które są dla niego za ciężkie i za trudne.

— Że są za ciężkie i za trudne, to się wydaje, zanim spróbować; jarzmo Pańskie lekkie jest — dla pokornych, a brzemię Jego słodkie — dla miłujących.

Spostrzegł, że pani Mimi sięga po parasolkę — i zakończył:

— Widzę, że pani spieszo, więc nie będę rozszerzać się dłużej, tylko poproszę panią, aby przyjęła odemnie tę oto książeczkę, i zechciała codziennie z niej po parę kartek z zastanowieniem przeczytać.

Pani Mimi otworzyła książkę i przeczytała półgłosem:

„Droga do życia pobożnego, rady dla osób w świecie żyjących.“

— Ach! — zawołała, — to jest ta „Filotea“, którą zwykle obiecuję czytać, kiedy chcę matkę mego męża w dobry humor wprowadzić. Bardzo dziękuję księdzu-Kanonikowi! Każę ją oprawić w plusz blado-lila z oksydowanymi klamrami, i położę na moim kłęczniku. Ale my tu tak długo konferujemy, a Muś czeka na mnie w domu ze śniadaniem!

Weszła do przyległego pokoju, aby poze-

gnąć Klarę, i spojrzawszy na Malwę, rzekła do Kanonika:

— Ale — *à propos!* muszę też ofiarować do Obrywińskiego kościółka nowe antepedium przed ołtarz Matki Boskiej. Czy nie zechciałaby — zwróciła się do Malwy — wyhaftować dla mnie coś ładnego, na przykład w srebrny deseń na tle niebieskiem?

— Dobrze, — odpowiedziała krótko Malwa.

— A ile zażąda za robotę?

— Za kościelne roboty nie biorę; proszę tylko o materyał.

— Bardzo to wspaniałomyślnie — rzekła pani Mimi z ironicznym uśmiechem, — ale ja tego przyjąć nie mogę od osoby, która zarabiać potrzebuje.

— W takim razie nie mogę podjąć się roboty, — odpowiedziała spokojnie Malwa.

— Ja nie rachuję się z wynagrodzeniem — nalegała pani Mimi, lornetując włosy Malwy, i myśląc o Wieloleckim. — Więc jeśli się namyśliła, niech przyjdzie do mojej garderoby, a panna służąca zadysponuje robotę i wręczy zadatek.

Klara nie wytrzymała.

— Panna Kaliniecka — rzekła żywo, czerwieniąc się po brzeg włosów, — nie chodzi do niczyjej garderoby i dyspozycyi od pokojówek nie odbiera.

— Daj pokój, Klaro! — upominał ją łagodnie Kanonik, — panny Kalinieckiej takie rzeczy dotknąć nie mogą. Nie zatrzymujmy pani Nabrzeskiej, bo spieszy na śniadanie.

Z owym bukietem białych heliotropów panna Wieloleckiego tak było: W wilię wyjazdu swego z córką do Warszawy, stary galant kazał ogrodnikowi ułożyć piękny bukiet i w porze przedwieczornej, wiedząc, że Jur jest w polu, a Malwa w domu, wybrał się do Zielonej Zagrody. W podwórku Marcinowa mu powiedziała, że panienka zajęta w sadzie, więc otworzył furtkę — i bez ceremonii, z sąsiedzką poufałością, szedł z bukietem w dłoń, a uśmiechem na ustach ku Malwie, która pochyłona, z sierpem w ręku, zcinała rosnące wzdłuż płotu bujne zielska na karm dla krów.

Usłyszawszy kroki, obróciła się — i spojrzała trochę zdziwiona na nieproszonego gościa.

— Najmocniej przepraszam — tłumaczył się słodkim głosem Wielolecki, — żem się ośmielił wtargnąć do świątyni bóstwa, aby u stóp jego złożyć skromną daninę!

I z pół żartobliwym, a pół sentymentalnym wyrazem przykląkł przed nią, kładąc bukiet na trawie.

Malwa wyprostowała się, i rzekła chłodno:

— Niepotrzebnie — doprawdy — ogałaca pan swoją oranżeryę, bo ja mam dosyć kwiatów na łące i w lesie. I proszę mi wybaczyć, że roboty nie przerwę, bo pilna.

Pochyliła się znów, i zcinała ziele, milcząc, ale Wielolecki ani myślał odchodzić.

— Daruje pani moją niedyskrecyę, ale mnie także pilno, i muszę koniecznie pomówić z panią, — rzekł znacząco.

Malwa znów się wyprostowała, i spytała wciąż tymże chłodnym tonem:

— Pan ma do mnie interes? Słucham!

Niezbity z tropu Wielolecki zaczął mówić prędko, aby mu nie przerwała:

— Panno Malwo droga! postanowiłem być z panią otwartym, jak prawdziwy przyjaciel, i oto, co mam pani do powiedzenia: serce mi się ściska, gdy widzę, jak pani marnuje swą młodość i swoje wdzięki, jak te śliczne rączki grubieją przy niestosownej pracy, jak dnię pani upływają bez żadnej przyjemności i bez szansy jakiegokolwiek odmiany. Taka perła, jak pani, nie powinna zagrzebywać się w mu-
le, i mam nadzieję, że mnie będzie danem umieścić ją we właściwszej dla niej oprawie.

— Nie dobrze rozumiem, do czego właściwie pan zmierza? — spytała Malwa mocno zdziwiona, bo wiedziała oddawna, że stary bałamut radby z nią poflirtować, ale nigdy nie przypuszczała, aby chciał się jej na seryo oświadczyć.

— Nie rozumie pani, że ja bez niej żyć nie mogę? — odpowiedział z przejęciem.

Malwie zrobiło się przykro. Dawanie odkosza bywało dla niej zawsze niemilem przeżyciem, a tem przykrzejszem stawało się teraz, kiedy wielbiciel okazywał zupełną bezinteresowność, oświadczając się pannie bez posagu i stanowiska.

— Bardzo mi przykro... bardzo pana przepraszam... — zaczęła z zakłopotaniem.

— Niech mi pani pozwoli dokończyć — przerwał żywo Wielolecki. — Znając szlachetny pani charakter, rozumiem, że pani nie zgodziłaby się na to, abym skrzywdził moje dzieci, dając im macochę, a później współdziedziców. To też obmyśliłem inną kombinację, obecnie coraz powszechniej wchodzącą w użycie — jak pani zapewne wiadomo — w całej cywilizowanej Europie, a szczególnie w Paryżu.

Teraz Malwa nic a nic nie rozumiała. Otworzyła zdziwione oczy, i patrzyła na niego z ciekawością, a on mówił dalej, zniżając głos coraz bardziej, i nadając mu pieszczotliwe intonacje:

— Wynajmę pod Warszawą elegancką wille, urządzę ją z szykiem i komfortem, będzie tam pani miała wszystko, na czem jej tutaj zbywa, a w zamian pozwoli jedynie na to, aby jej najpokorniejszy niewolnik odwiedzał czasami swoją królowę...

Nareszcie Malwa zrozumiała — i najpierw schwyciła się obu rękoma za głowę, a potem obróciła się w stronę chaty, i krzyknęła jak przestraszone dziecko:

— Nianiu! nianiu!...

Teraz Wielolecki patrzył na nią ze zdziwieniem, i z jeszcze większym posłyszał, jak zawołała do Marcinowej, która nadbiegła zdyszana:

— Wyprowadź tego pana za wrota!

Idąc za Marcinową, Wielolecki odwrócił głowę ku Malwie i rzekł półgłosem:

— Jednakże niech się pani namyśli... kobiety nie powinny dowierzać pierwszemu swemu wrażeniu...

Gdy znikł za zrębem chaty, Malwa odechnęła ciężko, a spojrzawszy na porzucony na trawie bukiet, gwałtownym ruchem wysunęła nogę, aby go zdeptać. Ale się powstrzymała; cóż były winne białe heliotropy? Podniosła je z ziemi, zbiegła w dół do parowu, i na zakręcie strugi, pod figurą, złożyła bukiet Wieloleckiego, wraz z najboleśniejszym w życiu swem upokorzeniem.

Mewa wróciła z Warszawy znudzona i kwaśna. Żaden magazyn jej nie zadowolił, żadnego gościnnego występu w teatrze nie było, żaden dom „przyzwoity“ nie został w mieście na lato, była więc spragnioną jakiegokolwiek rozrywki.

Narzeczony już jej nie bawił, bo nawet drażnienie się z nim nie wywoływało obecnie żadnych zajmujących objawów. Traktował ją z uprzejmą obojętnością, nie robiąc już jej nawet uwag, zwanych dawniej przez nią scenami zazdrości; powiedziała sobie zatem, że będzie go miała dosyć po ślubie, i z odnowionym zapalem zaczęła się bawić bałamuceniem Jura. A Jur wydawał się jej coraz bardziej interesującym, bo wyglądał, jak zakochany. Bywał to roztargniony i zamysłony, i wtedy milczał zawzięcie, to znów nerwowo podniecony, i wtedy żartował z nią, dowcipkował, a mówiąc prawdę — flirtował.

On sam nie umiał zdać sobie sprawy ze swego obecnego usposobienia. Od rozmowy z Klarą na cmentarzu nie wiedział, czy ją przedtem kochał, a teraz przestał, — czy też przedtem nie kochał, a obecnie zaczyna. Kiedy w kościele wsłuchując się w jej śpiew, odnajdywał w tych głębokich tonach jakieś rzewne skargi i tłumione żale, a wpatrując się w delikatny profil, spostrzegał, że ta blada twarzyczka coraz szczupłała, jak śnieg, który taje, — wtedy sercem rwał się ku niej i zdawało mu się, że wielbi jakimś nadziemskim uczuciem jakąś istotę, mającą skrzydła u ramion. Ale kiedy rozmawiała z nim ze zwykłym swoim łagodnym spokojem, patrząc nań oczyma tak jasnymi, jakby nigdy nie płakały i żadnych burz serdecznych nie kryły, — wtedy ogarniała go jakaś złość namiętna, i zadraśnawszy ją jakim ostrem słówkiem, biegł pobawić się z Mewą.

Siostrze mówił, że obie są mu jednakowo obojętne, z tą tylko różnicą, że nerwy jego zamarzają przy Klarze, a odmarzają przy Mewie, bo w tej biją gorące tętna ludzkiej natury, gdy tamta jest chłodnym, bezkrwistym aniołem.

Pewnego dnia Mewa, wybierając się do Zielonej Zagrody zaproponowała ojcu, aby jej towarzyszył, ale ku wielkiemu jej zdziwieniu Wielolecki wymówił się od tego.

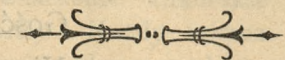
— Co to ma znaczyć, papeczko? — spytała ciekawie, — czy leśne jagody smak straciły?

— Nigdy mi tak znów nadzwyczajnie nie smakowały, — odparł, wzruszając ramionami.

— Ej, papeczko! pewnie próbowałeś kuć żelazo zanim było gorące, i ten grenadyer w spódnicy poczęstował cię halabardą.

— Zanadtoś domyslna...

(Ciąg dalszy nastąpi).



DEOTYMA.

NAD MODRYM DUNAJEM.

(Z POEMATU „SOBIESKI POD WIEDNIEM“).

(Ciąg dalszy).

Nieraz, pod morzem ukryte genjuszki,
Póty dmą w konchy tęczowe, aż wydumą
Srebrną jaskinię, mieszkanie dla wróżki,
Co w niej majaczy jak niebieskie widmo.

Tak, na tle nocy, krągłością budowy,
Wzdyma się namiot srebrno-lazurowy.

Ach patrz! I wróżka jest, jak tam w jaskini.

Na niskim łożu, na futrze pantery,

Spoczywa senna — nie wróżka, lecz Peri!

Nie Peri, ale bogini!

Do snu odpięła przyciężkie atłasy,

Ostatnią tylko zostawiła szatę,

Chylat Algierski, przetykany w pasy,

Białe, różane i zielonkowate.

Opończa cudna, lecz skąpo skrojona,

W dole po kostki, w górze po ramiona.

Peri, choć żadne nie śledzą jej oczy,

Stopy nakryła płomieniem lwiej skóry,

A rąk i ramion toczono marmury,

Chowa pod gąszczem warkoczy.

Warkocze pyszne, ze skraj granatową,

Wplątane w złote cekinów trzęsidlą,

Czarne, jak puchy krukowego skrzydła,

I tém czarniejsze, że wróżka, pod głową,

Ma szal niebieski z dywtykowej piany,

Cały srebrnymi gwiazdkami nasiany,

Rąbek, od rajszych zapożyczon mocy.

Na owych gwiazdach, na owym błękitcie,

Śpi tajemniczo, jak bogini Nocy,

Marząca o boskim Świecie.

Już też on tutaj zagląda po cichu.

Lampa u stropów jedwabnych wisząca,

Już się w liliowym dopala kielichu,

Wietrzyk poranny makatami trąca,

I zwolna wpuszcza brzask modrawo-szary,

Jak ową łunę podmorskiej pieczary.

W tej walce światła, twarz wróżki, twarz grecka,

O nisko-czołem profilu kamei,

Drga złudnym ruchem, uśmiechem pół-dziecka,

Co igra z bańką nadziei.

Evohe! Może to i nie złudzenie?

Ona istotnie przez sen się uśmiecha!

Bo też sen cudny objął ją pieśczenie,

A dziś, już tylko w snach dla niej pociecha!

Ona znów stoi na różowej skale,

Którą Egejskie podmywają fale,

Ze szczytu, wyspę znów ogląda całą,

Ten drogi Chios, co był jej kołyską.

Zdejmuje urnę, stawia ją pod skałą,

Zkąd zimne bije źródliśko.

Wóz Feba wschodzi, morze złotem płynie.
Już Archipelag cały w ogniu gore.
Już téż i pełne wezbrało naczynie.
Wzięła na głowę kamienną amforę,
I tak, podobna żywój karjatydzie,
W szacie fałdzistój, po urwiskach idzie.
A na dolinie dom ojca się bieli,
Dom płaski, z pięknym od morza tarasem.
Tam czeka matka, co ma twarz Cybeli,
Czeka brat, z bronią za pasem.

Takim to niegdyś, pogodnym porankiem,
Dzień na Egejskim złościł się obszarze,
Kiedy ją, z pełnym wracającą dzbankiem,
U stromych brzegów napadli korsarze.
Głos mieli straszny, i wzrok mieli dziki.
Lecz co to znaczy? Znów słyszy ich krzyki!
Budzi się zlekła, usiada na łożu....
Ach, więc to tylko był sen? Czcze widziadło?
Wzrok jój po Greckim już nie błądzi morzu,
Słońce jój szczęścia — zapadło!

Sprzedana! Przebóg! Jest.... nawet nie żoną,
Lecz odaliską pogańskiego Baszy!
Gdzieś aż pod zimny Wiedeń zawleczoną!
Tu zgilek walczących dzień i noc ją straszy.
I teraz, czaty spotkać się musiały,
Bo słyhać pogoń, i wrzask, i wystrzały.
Kiwnęła ręką; przywykła do trwogi,
Skoń na błękitnym skłoniła znów szalu,
I zwarła oczy zwilżale od żalu.
Ach, żebyż wrócił sen błogi!

O.... już powraca w zdwojonym powabie,
Gdy szmer niezwykły znowuż go przerywał!
Szmer dziwny, bliski, jakby zgrzyt krzesiwa,
Lub jakby nożem kto krajał jedwabie.
— Nagle, z cichością jaskółczego lotu,
Gość niespodziany wniknął do namiotu.
Nie straszny, owszem — najśliczniejszy w świecie,
Młodzianek tęskny, długo-włosy, blady,
W stroju wysmukłym i modrym berecie,
Jakby wycięty z ballady.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Czesław Jankowski.

Typy niewieście w literaturze XIX-go wieku.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Kobiety szarady i symbole.

The blessed damorel leaned out
From the gold bar of heaven;
Her cyss were deeper than the depth,
Of waters stilled at even;
She had three lilies in her hand,
And the stars in her hair were seven...

Panna wybrana przechyla się w dół
Z balkonu złotego niebios;
Oczy jej głębsze, niż toń wód
Wieczorna cisza cichych;
W rękę jej lilii trzy
A gwiazd w jej włosach siedm...

Damorel... sam ów archaiczny wyraz, rzucając w wyobraźnię czytelnika nastrój średnio-wieczno-balladowy, przenosi postać błogosławionej, świętej (= wybranej) panny w czasy tajemniczo-romantyczne wysmukłych białogłów i opancerzonych rycerzy. Zaledwie obraz zarysował się przed nami, już go poeta w mgły rozpuścił, pozacierał kontury; wzięte z widnokręgów Danta „lilie,” oraz kabalistyczne, symboliczne cyfry lilii i gwiazd splótł z reminiscencyami romantyzmu.

Słuchajmy dalej. Panna owa, w chóry anielskie przyjęta, rozłączona z ziemskim kochankiem swoim. Oto dziesięć już lat na niego czeka; owych dziesięć lat miało dla niej trwanie—roku. Dokoła niej łączą się z sobą

duchy, w radosnych postaciach. A ona, nad przepaściami wszechświata schylona — czeka. Ale wie, że *on* przyjdzie.... „w promienistej aureoli i szacie białej.” „Wówczas—mówi panna tęsknoty pełna—za rękę go ujmę i zestąpię z nim w otchłań świata. Zestąpimy tam, jak ku olbrzemiemu potokowi, i w obliczu Boga, w kąpiel nurtów onego zanurzymy się. Potem gajami iść będziemy, gdzie przebywa Królowa Marya z pięciu damami dworu swego, których imiona dźwięk mają słodkich melodyi: Cecily, Gertrud, Magdalen, Margaret i Rosalys...” I snuje dalej panna rozróżniona połączenia się z kochankiem rajskie obrazy, a wyprzedzwszy świetlaną dumę dum: „wspierała się o złocistą niebios krawędź, twarz dłońmi zakryła i jęła płakać.” I Dante Gabriel Rossetti dopisuje ostatnie słowa dziwnej, tajemniczej opowieści: „Słyszałem ją płaczącą...”

Dlaczego *placze* panna wybrana, skoro dziesięć lat rozłąki z ukochanym ma dla niej trwanie jednego roku, skoro ma pewność, że ujrzy go, względnie, niebawem? Co znaczą lilie w jej rękę, oraz ilość lilii i gwiazd? Jakiej tęsknoty jest symbolem słynna „Blessed Damorel?” Kształty jej podpatrzone z obrazów włoskich z epoki przed-Rafaelem; ręką poety kierowali Botticelli, Beato Angelico, Pollajuolo, Ghirlandajo; owiewa ją mistycyzm „Boskiej komedyi” i nastrój odrodzone-

go romantyzmu; każdy jej gest, każde słowo, to widomy symbol wewnętrznej istoty ludzkiej, której obrazu nie mogąc plastycznie odtworzyć, daje nam jeno odczuć poeta. Co to? wykopaliskowy fresk jakiś prymitywno-naiwny? czyli też odrodzenie ducha mistyczno-symbolicznego? A data wreszcie powstania tej tajemniczym urokiem owianej postaci niewieściej? Rok 1870-ty.

W epoce najbujniejszego rozkwitu literatury naturalistycznej kielkować poczęły zawiązki reakcyjnego idealizmu, pod którego znakiem, przypuszczać wolno, stać będzie piśmiennictwo wszechświatowe pierwszych przynajmniej lat, jeżeli nie dziesiątków lat XX-go wieku. „La Fortune de Rougon” Zoli ukazała się w r. 1871-ym, „L'assomoir” w roku 1877-go, „Nana” (od której rozpoczyna się odpływ naturalizmu doszłego do apogeum) w r. 1880-ym. W r. 1870-ym wydaje Rossetti swoje „Poems,” na które nikt nie zwraca uwagi; między rokiem 1870-ym a 1880-ym powstaje ruch „modernistyczny” tak zwanej „Młodej Belgii;” pierwsze szeregi tych, co ich nazwano *apporteurs de neuf* pojawiły się w Niemczech około r. 1885-go; tegoż roku — Verlaine, o którym pisać będzie Lemaître, że „słyszysz głosy, których nikt przed nim nie słyszał,” ogłasza w zbiorze swych poezji „Jadis et naguere” ewangelię programową „nowej sztuki:”

Car nous voulons la Nuance encor,
Pas la Couleur, rien que la Nuance!
Oh! la nuance seule fiancée
Le rêve au rêve et la flûte au cor!

We cztery lata potem stać już będzie na widnokręgu literatury „Princesse Maleine“ Maeterlincka i nowy prąd literatury i sztuki, nazywany na poczekaniu różnemi przezwiskami: modernizmem, dekadentyzmem, symbolizmem, fin-de-siècle'izmem (!), tocząc coraz to potężniejsze fale, szumiąc i zwalczając zapory, wśród wiwatów i kpin, popłynię majestatycznie w wiek „przyszłości“, w wiek dwudziesty...

Jakaż dlań sformułowano teorię estetyczną? Z góry powiedzmy: chwiejna jeszcze bardzo ona. Dopiero powstają dzieła *nowe*; dopiero świadkami jesteśmy porywów i prób. Nie czas jeszcze na filozofię nowej sztuki; dopiero roztwierają przed nią wrota i torują jej drogi w świat estetycy, krytycy, komentatorów, zawodowi pośrednicy między dziełami sztuki a ogółem. I—cóż mówią ci przysięgli rzeczoznawcy?

„Sztuka—powiada Guyau—nie może ograniczyć się do czystej sensacji, barwy, dźwięku, i zewnętrznej strony rzeczy. Artysta, postawiwszy sobie za cel rzeczywistość, nie poprzestanie na pozornej, pospolitej jej stronie, która bądź co bądź nie stanowi zupełnej rzeczywistości. Pojmować i przenikać, zgłębiać przynajmniej oczyma duszy otchłan *niezłębionego* i *niepojętego*—oto największe zadowolenie, jakie dać nam może poezja.“

„Należy—pisze Bahr—wzniesienie w sobie odpowiedni stan ducha, wywołać w sobie stosowny nastrój, a poezje owe — napelnia nas rozkoszą i zadowoleniem estetycznym. Wszystko wtedy wyda się nam w nich jasnym i dostępnym; wszelkie śpiewanie farb i barw, a naodwrot jaskrawienie się i błękitnienie tonów wyda się naturalnem i pochwytnem dla prostej logiki. Toć są przecie ekstazy ducha, ujęcia w słowa najtajniejszych uczuć i myśli, refleksy duszy poety na świat i świata widomego na duszę ludzką. Wiedział doskonale Dante, że czytelnika należy zwolna wprowadzać do takich sanktuariów. Jego sonety, składające „Vita Nuova“, są to wybuchy tak szczytnych wzruszeń (*Explosionen so sublimen Krämpfe*), że pojąłbyś ich nie mogli, gdyby nas wieszcz najpierw powoli od życia codziennego nie odwiódł i łagodnie w górę do tych wyżyn nie uniósł... Oto np. młody modernista francuzki p. Kamil Maclair, autor książki p. t.: „Eleusis, causeries sur la cité interieure;“ o czemże mówi i czego chce w pismach swoich? On — śnić tylko pragnie i podsłuchiwać najdelikatniejsze drgnienia własnych uczuć. Świat zewnętrzny, zmysłami pochwytny, nie ma dziś żadnego znaczenia. Tylko wewnętrzne echo świata zewnętrznego ma dlań wartość. On chciałby: „*se distraire du spectacle des événements à ce point de n'en contempler que l'intérieure réflexion*.“ Rzeczy widome i wypadki są dlań tylko posłami, symbolami wieczności i nieskończoności. To chciałby pochwyć i ująć w słowa; mówiąc krótko: chociażby *dire l'insaisissable* Maclair'a, zagłębiającego się wiecznie w jaźń rzeczy, w ich istotę możnaby nazwać *un métaphysicien de race, pour qui l'art n'est qu'un sanglot idéal*...“

Przyszło może komu na myśl, że trzeba być w stanie osobliwej łaski... przepraszam,—nastroju, aby zrozumieć, jak wygląda „sztuka będąca tylko idealnem lkaniem?“ Zwalczmy dystrakcję przestarzałej logiki i idźmy dalej.

„Poeta chciałby pełną, nieskończoną, wieczną istotę pochwyć i ująć w jej przelotnych i oderwanych objawach, w bolesnem błysnięciu wejrzenia, w zapachnięciu kwiatów więdących, w cichym tonie skrzypcowej struny. Wspaniałość parków i sadów, niewiast pozdrowienia, odczucie zmierzchu, wszystko, co jest w przyrodzie służy mu za materiał symbolizujący jego własne sny: zadanie sztuki w tem leży. Woła raz po raz: „*voir l'infini*!“

Zmienmy przewodnika. Oto p. T. de Wyzewa powie nam, iż Mallarmé był „najdoskonalszem wcieleniem poety idealisty.“ Powie nam dalej: „Marzył o poezji, która byłaby harmonijnem stopieniem z sobą najróżnorodniejszych wzruszeń i myśli. Każdy jego wiersz ma znaczenie kilkorakie (*plusieurs sans superposés*). Każdy wiersz jego miał być jednocześnie: obrazem plastycznym, wyrażeniem myśli, wybuchem uczucia i symbolem filozoficznym; oprócz tego miał też być melodią.“ Tak pisał krytyk i estetyk francuski w r. 1893-im, wyrażając pewność, że jeśli Stephane Mallarmé nie jest jeszcze „najbardziej znanym“ poetą francuzkim, to rychło nim zostanie. Wystarczy chyba dla podkreślenia, jaki wielki wpływ wywierał na schyłku XIX-go wieku kierunek w literaturze i sztuce, zwany kierunkiem przyszłości, a znaczenie jego wzrosło już do tego stopnia, iż w tymże 1893-im roku Max Nordau uważał za stosowne cisnąć weń dwutomowem, pionującym dziełem: „Entartung“ (Zwyrodnienie).

Tymczasem jednak omylił się p. de Wyzewa. Nie Mallarmé zdobył wszechświatowy rozgłos, jeno Maeterlinck—i jeśli jaką postać mamy prawo wysunąć na plan pierwszy z tajemniczych (na pozór!) mgieł t. zw. modernizmu, to jego „Królową Malenę.“ Zaś, by nikt nie podejrzewał spaczenia jej charakterystyki, oddajemy skwapliwie głos p. Zenonowi Przesmyckiemu, boć to niezaprzeczenie najlepszy u nas znawca Maeterlincka i dzieł jego.

Przedewszystkiem jakaż jest zasadnicza istota twórczości samego Maeterlincka?

Wszystkie myśli poety grawitują wizyonistycznie ku absolutowi, ku nieskończoności, ku wiekuiściej, niezmiennej, ku tej najgłębiej ukrytej, na powierzchni dostrzedz się nie dającej, zmysłom nieznannej i niedostępnej treści istnienia. Świat przedstawia mu się, jako jednolity, nierozzerwalny byt, w którym sfery na pozór nieprzebyte rozdzielone granicami, w ciągłej są z sobą korespondencyi. Świat ma, by tak rzec, Janusowe oblicze. Większość ludzi zadawała się oglądaniem jednej tylko oblicza tego połowy, zadawała się powierzchownymi znaczeniami rzeczy, słów i wypadków. Inaczej Maeterlinck. Obok świata zmysłom dostępnego uderza go cały inny jeszcze świat niewytłómaczalny i jak gdyby nadnaturalny, który nierozłącznie wiąże się z pierwszym (podpadającym pod zmysły nasze). Tedy najdrobniejsze zjawisko, najmniejszy wypadek pełne są dlań tajemniczego znaczenia.

Oto np. dla Szekspira człowiek jest istotą skończoną, w granicach zmysłowej świadomości zamkniętą; jest nadto ogniskiem, centrum świata i to centrum wyosobnionem poniekąd od reszty otaczającego bytu. Maeterlinck natomiast uważa człowieka: za istotę, której strona zmysłowa jest poniekąd konkretnym symbolem innej, nieskończonej, transcendentalnej strony, uważa go nadto za ogniwo w nieskończonym łańcuchu niepoliczonych form i postaci bytu pierwotnego. To też pisma jego starają się odkryć nam związek człowieka z otaczającym go bytem, przedstawiają go nam, jako bytu tego cząstkę nieodłączną i zależną. Szekspir, to psycholog zmysłowej jeno świadomości w człowieku i to w człowieku jakimś abstrakcyjnym, wyrwanym z całości jestestw. Maeterlinck—to mityczny odtwórca *całej* dwustronnej istoty ludzkiej w jej naturalnym związku z otaczającym ją wszechbytem.

Człowiek, w rozumowaniu Maeterlincka, to istota dwoista, należąca jednocześnie do dwóch porządków świata: porządku zmysłowego i porządku transcendentnego. Taką istotą ludzką jest królowna Malena.

Na pierwszy rzut oka, powierzchownie rzecz biorąc, ujrzymy w niej jeden tylko pierwiastek, mianowicie stronę zmysłową, z przejawami ducha, które dają się wyraźnie określić, sformułować, w słowach zamknąć. Jakaż to postać — oczyma ciała — widzimy przed sobą?

Widzimy postać, jak gdyby wyszłą z pod pędzla jednego z prymitywów (to jest jednego z włoskich malarzy tworzących w epoce przed-Rafaelem). Mamy przed sobą młodzieńcze dziewczę, nie mające jeszcze lat piętnastu, dziecko prawie, nierozwinięte, szczupłe, wątłe, anemiczne, blade bladością, która aż zielonawo przy białych rzęsach odbija. Szyderczo mówią o niej: „tapielica z zielonawą twarzą.“ Dzieweczka dość wdzięczna, ale nieco sztywna i — na pozór — zupełnie pospolita; powiedziałby kto: *insignifiante*. Piękność królowny — jak wyraża się Przesmycki — niezwykła, niecielesna, wewnętrzna, ukryta, nie każdemu oku dostępna, ale gdy na kogo uderzy, to — piorunem.

(Dokończenie nastąpi).



O POWOLANIACH KOBIETY.



DOZORCZYNIE CHORYCH.

(Dokończenie).

«Pokora świadczy nieraz o prawdziwej wielkości człowieka.»

Bezwzględne zaparcie się siebie, wyrzeczenie się zupełne osobistego, ziemskiego szczęścia, są to enoty tak wzniosłe i tak wielkiego wymagające bohaterstwa, że nie wiele dusz wybranych na podobne wyżyny wznieść się może.

Lecz cierpiącej ludzkości służyć można i bez zakonnego habitu siostry miłosierdzia. Tkliwem, współczującym sercem obdarzona kobie-

ta, ożywiona szczerem pragnieniem niesienia ulgi nieszczęśliwym, nie zrywając ze światem i nie zrzekając się rodzinnego szczęścia, może poświęcić się pracy około pielęgnowania chorych z wielką dla społeczeństwa i dla siebie korzyścią.

Coraz też częściej występuje dziś obok siostry miłosierdzia świecka pielęgniarka (wyrażenie przyjęte przez lekarzy, z którym atoli oswoić się nie mogę), albowiem powołanie to w zupełności odpowiada naturze i uzdolnieniu kobiety.

Świecka dozorczyńni już tem samem różni się od siostry miłosierdzia, że nie należy do religijnego Zgromadzenia i religijne jej przekonania żadnej nie podlegają kontroli. Ją obowiązuje tylko poszanowanie przekonań cudzych.

Rozumie się, że w powołaniu, opartem na niezachwianej miłości bliźniego i bądź co bądź na poświęceniu, wymagającym ogromnego hartu duszy, głębokie, religijne uczucie i wzniosłe zrozumiana miłość chrześcijańska stanowić muszą podstawę.

Pielęgnowanie chorego, choćby najbliższego nam, najgoręcej ukochanego, często niesłychanych wymaga wysiłków, pociąga za sobą fizyczne i moralne wyczerpanie i niejednokrotnie przejęłoby nas uczucie mimowolnej odrazy, i niejednokrotnie w bezsilności opadałyby nam ręce, gdyby nie wieczne odżywcza siła miłości, która wszystko przezycieża, ogrzewa i opromienia. Na jakież więc podziw i na jaki szacunek zasługują istoty, spełniające najuciążliwsze usługi przy ludziach obcych, istoty, których w tak ciężkiej pracy nie zagrzewa uczucie naturalnie z serca wypływającej miłości, związkami krwi wywołanej!

Dozorczyńni (czy pielęgniarce), w dodatkiem tej nazwy znaczeniu, nie ogranicza swej pracy jedynie do ścisłego wykonywania lekarskich przepisów. Myślą i sercem zespala się z duszą pacjenta, podtrzymuje w nim ducha, by dodać sił do znoszenia fizycznych cierpień.

Zbolałej istoty nie dotyka się szorstką ręką, a do subtelności, psychologię bliźniego rozumiejącego współczucia, wnieść się może jedynie kobieta szlachetna i poważną oświeconą wiedzą. Pierwsza lepsza sługa, każda zarobku poszukująca kobieta, mogłyby się podjąć obowiązków dozorczyńni chorych, gdyby praca ta nie opierała się na duchowej wyższości i na rzetelnym, fachowym wykształceniu.

Pielęgnowanie chorych wymaga koniecznie długiej, przygotowawczej nauki i bardzo moliwej praktyki. Kapryśny dyletantyzm nie znajduje wstępu do sal szpitalnych, nie dla niego miejsce przy wezgłowie chorego.

Sprawiedliwość powinna też być jedną z cnót kardynalnych opiekunki cierpiących, opiekunka nie powinna znać sympatycznych dla niej i antypatycznych chorych. Wszyscy, powierzeni jej opiece cierpią i każdy jednak ma prawo do jej współczucia. Sprawiedliwość, szczerze pojęty altruizm i poważna, fachowa wiedza, obok podkładu ogólnego wykształcenia, oto podwaliny, na których wnieść się może do bardzo szerokich rozmiarów gmach wielce pożytecznej i uznania godnej działalności kobiecej.

Ascetyczny regulamin życia nie obowiąz-

je bynajmniej świeckiej dozorczyńni; przeciwnie, przy ciężkiej pracy, której się poświęca, rozrywka bywa posiłną i odżywczą dla nerwów i ducha, jest ona, jako jasny, rozweselający promyk na szarem tle znoonej i jednostajnej pracy.

Lekarze większe jeszcze, surowsze wymagania stawiają dozorczyńniom świeckim, niż siostronom miłosierdzia. Żądają od nich nie tylko ślepego posłuszeństwa, idealnej czystości, fanatycznego zamilowania ładu i porządku, lecz nadto, oczekują od nich czasem jakiegoś ducha cudotwórczego, powstałego z niezłomnej energii i macierzyńskiej tkliwości, który, niby silną dłoń trzyma w karchach z bólu wijące się ciało, a przelany w spojrzenie i słowo, cierpienie łagodzi.

I rzeczywiście, ileż to razy wpływ rozumnej, serdecznie dobrej kobiety podnosi moralną istotę chorego, tak łaćno upadającą pod działaniem fizycznych cierpień.

Charakterystyczne cechy kobiecej natury, — jak już mówiłam w poprzednim artykule, — zapewniają stanowczą przewagę dozorczyńni-kobiecie, nad dozorcą-mężczyzną.

W Anglii np., obok nie tak licznych, jak u nas sióstr miłosierdzia, dozorczyńni świeckie pełnią służbę we wszystkich szpitalach. Wyjątek stanowią jedynie sale dla obłąkanych, albowiem brak dostatecznych ku temu zajęć sił fizycznych, czyni sale te dla kobiety niedostępnymi.

Dziecinny skrupuł, tak zwanej „przyzwoitości“, upada wobec głębokiego poczucia pożyteczności społecznej, miłości bliźniego i poważnej nauki.

Człowiek chory, to już nie pan X. czy Z., to nie Maciej lub Marcin, lecz bezbronna, nieszczęśliwa i niedołężna, ratunku wzywająca ludzka istota. Poważnie myśląca, własną swą godność szanująca kobieta zawsze i wszędzie, choćby przy najniższej pracy, przy najdrażliwszym zajęciu, umie nakazać dla siebie cześć i szacunek szczerzy.

Za Anglią poszły Niemcy. I tam, razem z katolickimi siostrami miłosierdzia i protestanckimi dyakonisami, coraz liczniej świeckie dozorczyńni dzielą z nimi zajęcia w szpitalach.

Rzecz naturalna, iż dozorczyńni świecka, tak samo jak szarytka, przy obsłudze mężczyzn musi mieć męskiego pomocnika, posłusznego każdemu jej skinieniu. Zajęcia i tym nie braknie, płaca zaś chyba zbyt szpitalnego budżetu nie obciąża.

Trzeba być sprawiedliwą i przyznać, że egzystencya siostry miłosierdzia czy dozorczyńni bez porównania trudniejszą jest i przykrejszą w oddziałach dla kobiet.

Na salach kobiecych musi ona uzbroić się w niewyczerpany, wprost bajeczny zasób cierpliwości, energii, taktu i wyrozumiałości. Kobiety wymagają nieskończenie więcej zabiegów i pracy, aniżeli mężczyźni. Ileż to czasu pochłania samo rozczesywanie włosów. A te przeróżne, często najniedorzeczniejsze żądania, fantazyje, które jednak, w miarę możliwości, uwzględnić należy.

Kobieta z ludu, z gminu, wykolejona z jednostajnej rutyny życia, niezem zająć się nie potrafi. Rekonwalescentki dzień cały spędzają na gawędce. Pomódz w czem chorej są-

siadce, broń Boże! Wyręczyć „siostrę“ czy dozorczyńnię, w najdrobniejszej choćby robocie—jeszcze czego? albo to się po to do szpitala przyszło? dosyć się w domu naharować trzeba. Rzadkie tylko wyjątki, obdarzone poczuciem pewnej delikatności, spotyka się wśród kobiet, należących do niższych sfer społecznych.

Utrzymać karność między choremi kobietami, to nielada zadanie. Umieją one zawsze zdobyć jakiś zakazany kasek i podejść lekarza. Żelazne nieraz nerwy z równowagi wyprowadzić są zdolne.

Regulamin zajęć świeckiej dozorczyńni tak się mniej więcej w szpitalach zagranicznych przedstawia:

Dzień rozpoczyna się bardzo wcześnie, o 5-ej. Pierwszymi zajęciami są: mycie, ubieranie chorych i przesłanie łóżek, poczem następuje (z pomocą posługaczki) doprowadzenie sali do porządku, czyszczenie narzędzi i t. d. Wszystko prawie dozorczyńni wykonywa własnoręcznie. O 7-ej podaje chorym śniadanie i szykuje bieliznę dla doktora. Pomiędzy 8-mą a 9-tą zjawia się inspektor szpitalny. Drobiazgowo przegląda każdy kącik i biada dozorczyńni, jeśli bystre jego oko dojrzy gdziekolwiek najdrobniejszy pyłek. Po wizycie inspektora przybywa lekarz. Dozorczyńni asystuje mu przy łóżku każdego ze „swoich“ chorych, a bywa często, że jedna dozorczyńni ma powierzonych swej opiece trzydzieści „łóżek.“ O każdym chorym musi powiedzieć doktorowi, jak spędził noc, jakie przejawiały się, na lepsze, czy na gorsze, zmiany; musi z uwagą pilną słuchać nowych rozporządzeń doktora i zapamiętać każdy szczegół jego rozkazów. Narzędzia wyczyszczone, przesterelizowane czekają tylko ręki lekarza.

Fachowo wykształcona dozorczyńni staje się dla niego znakomitą, wybornie wyszkoloną pomocą, zgaduje myśli jego, rozumie każdy jego ruch, każde skinienie, jest mu nieomal kolegą, prawą ręką, nigdy zawadą.

W południe, punktualnie o 12-ej obiad. Dozorczyńni podaje każdemu choremu wyznaczony przez lekarza posiłek. Zdrowsi nudzą bez końca. Po obiedzie następuje doprowadzenie każdego „łóżka“ do porządku, sprzątanie i na koniec—krótka, zasłużona chwila odpoczynku. Rozumie się, że kolejno, na kilka oddziałów, jedna z dozorczyńni zostaje dyżurną.

O 4-ej ruch na nowo. Podwieczorek, a po nim powtórna wizyta doktora. Tak samo, jak z rana, wszystko musi być przygotowane, ułożone i wyczyszczone.

W ciągu dnia przybył niejeden chory. Należy zatem obznajmiać doktora ze wszelkimi szczegółami, odnoszącymi się do nowoprzybyłego i znowu z natężeniem całej uwagi słuchać odnośnych rozporządzeń.

Przed wieczorną herbatą kąpiel, po herbatcie układanie chorych do snu. Około 9-ej sale szpitalne zalega względna cisza. Jedni zasypiają, inni uspakajają się pod wpływem ciszy i lekarstwa. Leczą się i tacy, przy których całymi nocami czuwać trzeba, tu bacząc, by po księdza w czas posłać, tam, by dyżurnego w szpitalu doktora przywołać.

Obraz takiej całodzienniej pracy dozorczyńni w szpitalu, daje pojęcie o uciążliwości jej zajęć i wielkim harcie ducha i ciała.

A jak szerokiem polem działalności dozorczyń świeckich są za granicą szpitale dla dzieci, z jakim poświęceniem nieraz, kobieta, obdarzona macierzyńskiem sercem, prawie że wyrwa śmierci małeńkie biedactwa, jak pożyteczną, a zarazem dochodną bywa praca dozorczyń w domach prywatnych, nawet rozpisywać się nie będą, dość wspomnieć o tem.

Każda z nich atoli pamiętać winna, że najszlachetniejsze porywy, najlepsze chęci, najofiarniejsze serce, do celu jeszcze nie doprowadzą, jeżeli się nie zespola z zawodową, rzetelną wiedzą i ze zdrowym, opornym organizmem.

Zagranicą, głównie w Anglii i w Niemczech, powstały już liczne „szkoły pielęgnowania chorych,” w których kobiety, posiadające podstawowe wykształcenie, nabywają zawodowych wiadomości pod kierunkiem pierwszorzędnych specjalistów. Tylko dla tak sumiennie przygotowanych kobiet szpital staje się dziedziną praktycznej i owocodajnej pracy.

I w naszym społeczeństwie zbudziła się już myśl zorganizowania szkół podobnych i dostarczenia w przyszłości niejednej kobiecie szlachetnego serca i hartownej woli, a potrzebującej zarobku, pracy na polu szczytnego zawodu opiekunki chorych. Istnieje w naszym mieście związek kilku inteligentnych kobiet i lekarzy myśl ową propagujących; doktor Sawicki przemawiał już nawet w tej kwestyi na posiedzeniu w Towarzystwie higienicznym. Miejmy więc nadzieję, że maluczko, a dojrzeje projekt, któremu z głębi serca „Szczęść Boże” przesłać możemy.

Zofia Seidlerowa.



SEN I JAWA.



Na progu moim, jak drżąca sierota,
Łamiąc wychudłe i bezsilne ręce,
Siadła z marzenia zrodzona tęsknota
W gorzkiej, choć niemej rezygnacji męce.

Skarga jej cicha myśli me zamąca,
Z jej łez wilgotne wznoszą się opary...
Nie widzę kwiatów i nie widzę słońca,
I dzień mój każdy posępny i szary...

A ona szepce: „Za górą, za rzeką,
Tam, z kądem o świcie złote wstają zorze,
Z kądem jutrznia wschodzi — daleko, daleko,
Drzemie spokojnie lazurowe morze...”

Na morzu wyspa kwietna się kołysze,
I gaj wieczystą zieleni się wiosną,
I szumią sennie nadbrzeżne komysze,
I białe lilie wśród sitowia rosną...

Na wyspie cichej białe stoja chaty,
W dzikich powojów przystrojone wieńce;
W każde okienko zaglądały kwiaty,
A kwiaty — białe polewają ręce.

A kiedy ranek wilgotnymi usty
Zdmuchnie cień, wonie rozpylając świeże,
Cudne dziewczęta, białe niosąc chusty,
Dają z pieśniami na morskie wybrzeże.

Na bujnej łące pod psów czujnych strażą
Pasą się owiec niezliczone stada;
Pasterze grają na fletniach — i marzą;
A echo pieśniom i snom odpowiada...

Sędziwy rolnik orze ziemię czarną,
Rażnym okrzykiem popędzając woły,
Lub w pulchne brzozy rzuca złote ziarno,
Słuchając pieśni skowronka wesolej.

Na całej wyspie niema sztuki złota,
I wełnę ręczne tkają tam warszlaty...
Za to jest miłość, wesele, ochota,
Pogodne niebo, i słońce, i kwiaty...

... ..
Słucham... Jak pieśni starogreckiej echo
Dźwięczą mi słodko cudnej baśni słowa,
I ukojeniem mi są — i pociechą...
— I na pierś ciężka opadła mi głowa.

Śnię, że w swej chacie przyjmuję Homera,
Lub że gawędzę z hożą Nauzykają...
— Nagle — świst głośny uszy mi rozdziera,
To dzień się budzi — a z nim — sny pierzchają...
... ..
Na progu moim, jak drżąca sierota,
Łamiąc wychudłe i bezsilne ręce,
Siedzi z marzenia zrodzona tęsknota,
W gorzkiej, choć niemej, rezygnacji męce.

Leon Rygiel.



Genialny robotnik.



(Ciąg dalszy).

W domu Pasteur'ów laboratorium było świątynią, w której każdy członek rodziny służbę pełnić musiał. Dżuma, wścieklizna, flaszki z mikrobami — stanowiły przedmioty familijnych obrad. Rozmawiano o nich tak, jak się w innych rodzinach rozmawia o krewnych, o teatrze, o znajomych.

— Przyjeżdżaj do mnie, do Strasburga — pisał Pasteur po ślubie do swego przyjaciela. — Nie będziemy rozmawiali o niczem innem, tylko o kryształach.

W owym czasie zajął się Pasteur jakąś solą, znaną jakoby w początkach wieku, a której ślad zaginął. Młody uczony wyruszył do Wiednia, Pragi, Dreżna, aby w sławnych niemieckich fabrykach robić naukowe poszukiwania nad ową solą. W każdym z tych miast znał tylko jedną drogę — z hotelu do fabryki.

W Dreźnie przetrzymano go dla formalności pasportowych. Wstąpił prawie bezwiednie do Galeryi obrazów i z nieklamana przyjemnością oglądał arcydzieła sztuki. W podróży swym notatniku zaznaczył nawet krzykami obrazy, które mu się szczególnie podobaly.

W Pradze nakoniec natrafił na ślady upragnionej soli. Píše natychmiast do żony: „Szczęściu memu nie dowierzam jeszcze!”

Gazety paryżkie wysmiewały bez ogródek tę naukową wycieczkę Pasteur'a. „Odkąd świat światem, drwili sobie dziennikarze, nie uganiał się jeszcze nikt tak za żadną pięknoscą, jak Pasteur za swą solą.”

Pani Pasteur otrzymuje pewnego dnia depeszę: „Znalazłem tajemniczą sól — znalazłem ją sam, w laboratorium.”

Uczony świat nie dawał wiary odkryciu. Pasteur'a atoli nie zniechęcała nieufność. Wierzył niezachwianie w swą naukę, wierzone w nią również przy domowym jego ognisku, i dodawano mu otuchy do dalszej pracy.

Odbyta po Niemczech wędrowka nie wesołe nasunęła Pasteur'owi myśli. W owe czasy, w poważnych, uczonych Niemczech, Uniwersytety i laboratoria wzorowem odznaczały się już urządzeniem. Na ojczystej glebie tymczasem brakowało pieniędzy na laboratoria! Na doświadczalną chemię wyznaczał skarb francuski zaledwie 1,200 fr. rocznie.

Nie ciekawy też przedstawiały widok owe laboratoria. Sławny Claude-Bernard pracował na jakimś strychu, chemik Lazan w wilgotnej piwnicy, w której się suchot nabawił. Jeden Dumas posiadał przyzwoite laboratorium, dzięki bogatemu i rozumnemu swemu teściowi.

I z tych to poddaszy i suteryn wypływało wielkie światło wiedzy, z tych nędznych izdebek wyłaniały się nieśmiertelne odkrycia!

Dzięki pracowitości, oszczędności, skrzętnym zabiegom żony, udaje się nakoniec Pasteurovi urządzić małe laboratorium we własnym swym mieszkaniu. W tem maluchnem, miniaturowym laboratorium wre wielka, na jedną sekundę nieustająca praca, albowiem doświadczenia i w nocy się robiły. Pasteur daje światu największe naukowe odkrycie minionego wieku, odsłania przed zdumionem okiem ludzkości bezmierny świat drobnoustrojów, rozmnażających się z błyskawiczną szybkością w płynach.

Poruszoną przez Pasteur'a kwestyą zajął się cały świat uczonych.

— Z kądem i jak powstają mikroorganizmy?

Uczni odpowiedzieli:

— Z powietrza, w którym się same rodzą!

— Veto! — zawołał ze swego laboratorium Pasteur. — Żadne żyjące stworzenie nie ujrzy światła dziennego bez rodziców. Mikroorganizmy rodzą się z podobnych do nich organizmów. Niewidzialne dla gołego oka miliardy mikrobów posiadają równie wspaniałe drzewa genealogiczne, jak najpierwsi książęta krwi.

Gorąca, namiętna dysputa wstrząsała całą uczoną Europę.

— Jeżeli wszelkie życie jest darem rodziców — wołali sceptycy, — z kądem wzięli się pierwsi rodzice?

A Pasteur na to:

— Jest to wielka, dla ludzkiego umysłu niedostępna tajemnica, na którą się nauka świętokradzką nie porywa ręką. Przyczyna wszystkich przyczyn — zowie się Najwyższą Twórczą Istotą.

Wśród najgorętszej walki oderwano Pasteur'a od naukowych jego badań. W południowej Francji wybuchła epidemia jedwabników i kraj ponosił milionowe straty. Zaproponowano Pasteur'owi zbadanie przyczyny tej epidemii. „Zlitujcie się ludzie — odpowiedział, — toć ja w moim życiu jeszcze jedwabnika w rękę nie miałem.

Dla roznamiętnionego swą pracą uczonego, było szczytem ofiary opuścić laboratorium; wołano wszelako o pomoc! Szlachetne serce Pasteur'a wzniosło się po nad osobiste względy. Opuścił bez wahania rodzinę i laborato-

ryum i udał się do dotkniętych klęską miejscowości. Mikroskop wskazał mu przyczynę złego. Pasteur ocalił miliony nie tylko swej ojczyźnie, lecz wszystkim krajom, hodującym jedwabniki.

Długich pięć lat spędził Pasteur na polu, pracując bez wytchnienia od świtu do późnej nocy. Do ciężkiej pracy przyłączyło się i wielkie zmartwienie. Pasteur prawie jednocześnie pochował ojca i ukochaną swą córeczkę. A jednak pomimo znużenia i zgryzoty ani na chwilę nie pomyślał o odpoczynku. Nauka i ludzkość potrzebowały jego pracy. Nie opuści zaszczytnego posterunku, nie zdradzi sztandaru wiedzy i miłości bliźniego. Spieszył do każdego z radą i pomocą. Widywano go nieraz w wieśniaczych chatkach nad butelką zepsutego wina lub jakiego innego wyrobu. Uczyl maluczkich usuwać złe, grożące nędzą w chacie.

Imię Pasteur'a stawalo się coraz głośniejsze, lecz sława i rozgłos przygniatały go, tamowały swobodę jego ruchów. Starannie unikał wszystkiego, co go od ukochanych odrywało zając.

Zaproszono go pewnego razu do Compiègne, na cesarskie polowanie. Biedny Pasteur struchlał. Wszak on nigdy w życiu nie trzymał broni w ręku. I po co każą mu brać udział w mordowaniu nieszczęśliwych jeleni.

O odmowie atoli nie można było myśleć. Udał się uczony do Compiègne—i, o dziwo, znalazł tam niebawem dla siebie odpowiednie i zajmujące zajęcie. Z Napoleonem zawarł rozmowę o fermentacji, a z Eugenią o mikrobach. Gdy się zebrali uczestnicy łowów, zajechały pojazdy, weszli upudrowani lokaje, Pasteur zręcznie się wymknął, wyszukał sobie zarządzającego cesarskimi winami i poszedł z nim do piwnicy. Wynalazł natychmiast kilka butelek podejrzanego wina, a wygalonowani lokaje drwiąco spoglądali na dziwnaczego jegomościa, który tak nieprzewyższony do cesarskiego wina uczuł pociąg.

O godzinie piątej czekano na Pasteura u Cesarzowej—ale on najspokojniej siedział sobie nad mikroskopem. Nazajutrzznaczono mu audyencję. Zjawił się z mikroskopem w ręku, aby zebrany mikroorganizmy pokazać. Cesarzowa przedstawiła go swym gościom, dla których miał wygłosić odczyt. Interesowano się oczywiście nie drobnoustrojami—lecz głośną osobą prelegenta. Napoleon dowiedział się ze zdumieniem, że Pasteur dotąd żadnego nie zebrał majątku. „Najjaśniejszy panie, — odpowiedział uczony z dobroduszną prostotą—nie mam czasu myśleć o takich drobiazgach, odrywałyby mnie one od mej naukowej pracy.“

Przez kilka lat swego życia pełnił Pasteur nadto uciążliwe obowiązki pomocnika dyrektora szkoły normalnej.

Studentom wciąż jedną i tę samą dawał radę:

— Pracujcie! to jedno wypełnia życie! Mnie się zawsze wydaje, że okradłem bliźniego, jeżeli jeden dzień spędziłem bez pracy.

Nie pojmował, aby człowieka jakakolwiek pod słońcem siła od pracy odrywać mogła. „Wszystko ziemskie przemienie. Nauka jedna pozostaje zwycięzka i dobroczynna. Na tem polu przegranej krwi i łzami się nie okupuje.“

Pasteur wznosił się ponad drobne ludzkie namietności. Potężnym wzrokiem ducha sięgał w dalekie przyszłe wieki, które ujrzą zwycięstwo myśli i w których polityczne namietności prysną, jak mydlane bańki i najlżejszego po sobie nie zostawiają śladu.

— Pracujcie, pracujcie bez wytchnienia! — powtarzał swym uczniom.

Mianowano go profesorem chemii w Sorbonie. Pasteur znalazł laboratorya w tak opłakanym stanie, że napisał natychmiast list do Napoleona III-go, prosząc Cesarza o wydzwignięcie doświadczalnej nauki z nędzy, w jakiej była pogrążona. Napoleon przychylnie odpowiedział na prośbę Pasteur'a, lecz ministerium odmówiło wypłacenia 160,000 fr.; budowano właśnie Wielką Operę, która miliony pochłaniała.

— Mój Boże! — biadał Pasteur, — czyż oni tego nie pojmują, że wydatek na laboratoryum z lichwą się opłaci. Pokryją go stokrotnie korzyści, jakie się zapewni rolnictwu i przemysłowi.

Napisał w artykule do „Monitora“: „Fizyk i chemik bez laboratoryum, — to żołnierz bez broni. Zniszczenie laboratorya — a nauki przyrodnicze staną się martwe. A one są przecież świątynią przyszłości, pozwalają nam czytać w wielkiej księdze natury. Dzieła natury techną nieśmiertelną harmonią, nasze zaś ludzkie dzieła są częstokroć objawami barbarzyństwa, fanatyzmu i zniszczenia.“

„Moniteur“ zarządał pewnych zmian, na które się nie zgodził i pracę swą umieścił w jakimś naukowym czasopiśmie. Dostało się ono wypadkowo w ręce Napoleona.

— Jaki? — zawołał cesarz z oburzeniem — Pasteur dotąd nie ma laboratoryum? — i rozkazał niezwłocznie przystąpić do budowy.

W tym samym czasie Pasteur śmiertelnie zachorował. Ustawiczne wyteżenie myśli podkopało słaby z natury organizm. Pewnego dnia uczuł silne klucie w boku—ale udał się, jak zwykle, do Akademii. Zaniepokojona żona sama go odwiozła i przed drzwiami Akademii na wyjście jego czekała. Po obiedzie położył się, chciał żonie coś powiedzieć — i nie mógł: odjęło mu mowę. Przemówił wprawdzie po kilku minutach, lecz ataki chwilowego paraliżu powtórzyły się około 30 razy. Lekarze byli przerażeni. Cała lewa połowa ciała została sparaliżowana. Mowę, aczkolwiek utrudnioną, odzyskał. W uzdrowienie jego nikt, nawet sami doktorzy nie wierzyli. Pasteur żałował życia, bo mówił do żony: „tyle jeszcze zrobić chciałem!“ Dręczyła go też myśl, że nie zdążył opisać epidemii jedwabników. Gorączkowo zaczął dyktować żonie swe naukowe o jedwabnikach spostrzeżenia. Wierzyć się nie chce, aby to dzieło było pisane przez umierającego, ale niezmordowana energia Pasteur'a umiała pokonać niemoc ciała i ducha.

— Co za bezmiary pracy, co za nieskończony świat odkryć zostawiam za sobą! — żalił się żonie.

Opatrzność jednak czuwała nad nim i nad nauką, której jeszcze przez długie lata coraz chlubniej miał służyć.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.



„W sieci“, studium sceniczne w 4-ach aktach
J. A. Kisielewskiego.

Autor „Karykatur“, wystawionych przed kilku laty na naszej scenie i cieszących się zasłużonym powodzeniem—należy bez zaprzeczenia do najwybitniejszych dramaturgów współczesnych młodszego pokolenia.

W ubiegłą niedzielę zobaczyliśmy w Rozmaitościach najpierwszą pracę p. J. A. Kisielewskiego studium sceniczne p. t. „W sieci.“

Pierwsza to oryginalna sztuka, wprowadzona na repertuar przez obecnego naczelnego reżysera dramatu i komedii, p. Ludwika Śliwińskiego. Z uznaniem zaznaczyć należy, że p. Śliwiński wydobył ją z archiwów teatralnych na światło dzienne, tembardziej, że wystawienie tego studium scenicznego przedstawiało niemało trudów; trzeba było bowiem dokonać znacznych skróceń.

Niemalą trudnością było również obsadzenie głównej kobiecej postaci, od której faktycznie zależy powodzenie sztuki.

Wśród personelu kobiecego naszego dramatu najodpowiedniejszą „Julką Chomińską“ byłaby może p. Marczello-Palińska; szkoda, że ze sceny naszej ubyla p. Siemaszkowa; ona dopiero z roli „Julki“ stworzyłaby prawdziwą kreację.

Pierwszy utwór p. Kisielewskiego, jakkolwiek pod względem techniki artystycznej ustępuje znacznie „Karykatur“, niemniej jednak nosi na sobie znamiona rzeczywistego dramatycznego talentu.

Dar obserwacji i nerw dramatyczny są to przymioty, które, przy udoskonaleniu techniki dramato-pisarskiej i pogłębieniu tematów, każą spodziewać się bardzo wiele po p. Kisielewskim.

Utalentowany dramaturg w zaraniu swego pisarskiego zawodu wznosił się w obu dramatach swoich na wyżyny prawdziwej sztuki.

Julka Chomińska to postać nowa i najzupełniej oryginalna w naszej literaturze dramatycznej.

Dziwne figle nieraz los płata.

W atmosferze filisterstwa i małomieszczańskich prądów wśród rodziny, złożonej z najbardziej typowych zjadaczy chleba — wychowywa się Julka o skrzydłach sokolich do lotu, o wielkich pragnieniach i porywach w swej młodocianej nieskalanej duszy.

Młoda malarka czuje w sobie moc twórczą — i dusi się w pętach, jakie nakłada na nią rodzina.

„Zdaje mi się nieraz—mówi, że jestem do jakiegoś drzewa wielkiego przywiązana powrozami, biją we mnie strzały, jedna po drugiej, strzała za strzałą. A tam, tam, w dali—ognisko, tam światłość ogromna, tam duchy moje bratnie uczują. W rękach kielichy nektaru, na głowach wieńce weselne... śpiew... białe suknie...“

Jedyną bratnią duszę w całym otoczeniu swoim znajduje Julka w młodym dwudziesto-dwuletnim studencie, Jerzym Boreńskim, mieszkającym w domu jej rodziców.

Boreński wystąpił z drugiego kursu me-

dycyny, aby się wyłącznie poświęcić literaturze.

Marzyciel, idealista, o szlachetnych porwach duszy, może zanadto popisujący się wyuczonymi frazesami, niemniej najzupełniej szczerzy—Boreński jest postacią nawskróś indywidualną i pod względem artystycznym wykonaną wybornie.

Nie dziwnego, że nić sympatii, łącząca tych dwoje młodych, mających wspólne ideały, miłujących nadewszystko piękno, zacieśnia się coraz bardziej.

Dzieje pierwszej miłości tych dwojga serc—to prawdziwa idylla, owiana czarem poezji; zmysły ich zdają się drzemać jeszcze i dusze ich raczej łączą się w uścisku, bez winy, bez grzechu...

Niestety, Boreński, jakkolwiek ma zamożnego ojca piwowara, z trudem sam wywalczać musi sobie byt materialny; rodzina zaś Julki zmusza ją do poślubienia pocziwego sędziego Aleksandra Rolewskiego, od którego ojciec Julki, na rachunek przyszłego pokrewieństwa, pożycza pieniędzy na zapłacenie długu karcianego.

I w końcu Julka, po strasznej wewnętrznej walce, ulega namowom rodziny; jedyną jej pociechą jest możliwość dalszego kształcenia się w malarstwie.

Pani Trapszo-Chodowiecka postać Julki odtworzyła z wrodzonym sobie wdziękiem i nie-małą inteligencją, cechującą tę wybitnych zdolności artystkę; jej Julka miała może za mało temperamentu, za mało siły dramatycznej; nie jest to jednak winą utalentowanej artystki, że rola Julki nie leży w zakresie jej indywidualności.

Boreńskim był p. Roland, utrzymując się najzupełniej w charakterze od początku do końca.

W rolach drugoplanowych wyróżniali się świetną grą: panna Palińska jako młodziutka pensjonarka Cesia, oraz pp. Rapacki (radca Chomiński) i Frenkiel (sędzia Rolewski).

L. R.



ODCZYT.



Atanazy Bardzki: „O umysłowej pracy kobiet.”

Zasłużonem wielce było uznanie, które spotkało p. Bardzkiego po ostatnim z szeregu pięciu odczytów, poświęconych żywo poruszanej na całym świecie kwestji pracy kobiet, a wypowiedzianym w sali Muzeum w zeszłą niedzielę, t. j. d. 4-go b. m. Praca to, jakiej dotychczas nikt jeszcze nie podjął, praca, w której prelegent zgromadził tyle poważnego materiału, tyle, na cyfrach opartych dowodów, że, jako prawdziwy dokument w kwestji kobiecej, przechowaną być może, a tak w niej skrętnie pozbierano nazwiska Polek, iż dla nas podwójnego nabiera znaczenia.

Przechodząc do kronikarskiego porządku, notuję, że trzeci z kolei odczyt, p. Bardzki zajął w pierwszej części dalszym jakoby ciągiem odczytu drugiego, czyli: rozbiorem pracy ks. biskupa Niedziałkowskiego: „Nie tędy

droga szanowne panie,”—w drugiej—kwestyą wyższego wykształcenia kobiet, popierając statystycznymi danymi postępy kobiet na polu naukowem.

Starając się najdowodniej odeprzeć zarzuty ks. biskupa Niedziałkowskiego, p. Bardzki zapytuje, co mają czynić z sobą miliony kobiet, których los nie obdarzył mężem i ogniskiem rodzinnem, skoro ów mąż i owo ognisko mają być jedynym celem życia kobiety. W jaki sposób radzić sobie mają takie nie-szczęśliwe, tragiczne w swej prawdzie istoty, jak „Marta” Orzeszkowej—lub „Orzełińska” Wandy Grot-Bęczkowskiej.

Na poparcie słów swoich przytaczał prelegent zdania biskupa Dupanloup, jednego z naj-oświecześniejszych przedstawicieli duchowieństwa we Francji, który w swem dziele: „O kształceniu kobiet” przyznaje kobietom prawo do nieograniczonej wiedzy i do równouprawnienia z mężczyznami w umysłowej pracy.

Część tę zakończył prelegent cytacją z dzieła Czesławy Krzymuskiej: „Kobieta i postęp ludzkości.”

Niepodobna, choćby najpobieżniej, zanotować wszystkich danych, zebranych przez p. Bardzkiego w części drugiej trzeciego odczytu. Mówił poszczególnie o wszystkich krajach Europy, o Stanach Zjednoczonych, Japonii, Australii i Indjach, nie zapominając ani o warunkach, w jakich kobiety w danym kraju kształcą się w wyższych zakładach naukowych, o rezultatach ich pracy, o procentowym stosunku do kolegów męskich i t. d., i t. d.

Już sama ta część, pełna poważnych, tak pracowicie zebranych przykładów, cyfr i dowodów, stanowi niezaprzeczenie, jak wspominałam już, nieistniejącą dotychczas w języku polskim pracę o ruchu kobiecym.

Odczyt czwarty było to chronologiczno-statystyczne wykazanie zdobyczy, osiągniętych przez kobiety na polach: pedagogii, literatury, publicystyki, sztuki, medycyny i farmacji. Przykłady i cyfry były i tu najpoważniejszymi argumentami.

Krótko powiem, że, przeszedłszy wieków kilka, zdobycze kobiet, osiągnięte na wymienionych wyżej polach pracy, przedstawiają się wprost imponująco.

Pierwsza część piątego i ostatniego odczytu obejmowała statystykę pracy kobiet na pocztach, przy telefonach, telegrafach, kolejach, w biurach, w sądownictwie, więzieniach, inspekcjach fabrycznych, a nawet w życiu politycznem.

I tu nie brakło przykładów uzdolnienia, gorliwości i sumiennej pracy, przyczem nie-mały nacisk położył prelegent na wpływ umoralniający kobiety, wywierany na zachowanie się męskich jej kolegów.

Po wykazaniu trudności walk, przebytych przez apostołki równouprawnienia, zwłaszcza w sądownictwie, które dopiero w Ameryce zdobyć umiały z rzetelnem powodzeniem, p. Bardzki przeszedł do wzmianki o różnych stowarzyszeniach kobiecych, kassach pomocy, kongresach, zwoływanych w sprawie równouprawnienia i t. p.

Tu wspomniał prelegent, że już Bentkowski wystąpił z propozycją przyjęcia panny Tańskiej (późniejszej Hoffmanowej) w poczet

członków Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Niejednokrotnie cytował zdania i dezyderaty Elizy Orzeszkowej i odsyłał słuchaczy swoich do prac ekonomisty naszego, Zenona Pietkiewicza.

Zakończeniem odczytów były wnioski ogólne i osobiste zapatrywanie się prelegenta na równouprawnienie kobiet. Zapatrywanie, być może, wkraczające niekiedy w krainę utopii, albo przyznające zbyt wielką wagę rzeczom mniejszej doniosłości, lecz ogólnie biorąc, rozumne i niezmiernie zacne.

Gorąco broniąc sprawy wszechstronnego równouprawnienia kobiet, p. Bardzki, jako wyznawca wiary, przypominał słowa Orzeszkowej, iż tam, gdzie się żąda praw, przyjmuje się jednocześnie do spełnienia obowiązki i że kobieta, przy poważnej pracy, powinna przestać uważać siebie za istotę uprzywilejowaną do odbierania hołdów i uprzejmości ze strony męskiej połowy rodu ludzkiego.

Poczucie wysokiego godności własnej, powaga, równość obęścia się ze wszystkimi, rzetelne wypełnianie przyjętych na siebie obowiązków—oto tarcza, która będzie zawsze naj-silniejszą obroną dla pracującej współ z mężczyznami kobiety. Praca zaś samodzielna i produkcyjna obowiązująca wszędzie ogół mężczyzn, nie powinna, według prelegenta, obowiązywać jedynie kobiet potrzebujących zarobku. Pracować powinien człowiek każdy, a więc i każda człowiek-kobieta.

Głęboko odczuty, gorącym hołdem zabrzmiały jeszcze słowa prelegenta dla niezrównanej poetki naszej—Konopnickiej, a hołd ten musiał odezwać się w wielu sercach, bo szmer wzruszenia przebiegł po sali.

Wezwanie do pożytecznej, dobrze zrozumianej pracy i przypomnienie, że tylko tam jest prawo, gdzie jest obowiązek, były ostatnimi słowami, któremi p. Bardzki pożegnał swoich słuchaczy.

Odczyty opracowane nader starannie, język jędrny, jasny i potoczny, gdzie nigdzie tylko naleciałość rusycyzmu, jak np.: „dwa z połową,” zamiast „dwa i pół.” Szkoda też, że, chwilami zwłaszcza, p. Bardzki mówił zbyt prędko, co nadzwyczajnie utrudniało czytanie notatek.

Z. S.

Treść numeru:

Ziarnka gorczyczne, przez Wandę Grot-Bęczkowską (Korotyńska).—Na werendzie (pogawędka), przez Kazimierza Glińskiego.—Przystań, powieść współczesna, przez J. Terpilowską (ciąg dalszy).—Nad modrym Dunajem (z poematu „Sobieski pod Wiedniem”), przez Deotymę (ciąg dalszy).—Typy niewieście w literaturze XIX-go wieku: VIII. Kobiety szarady i symbole, przez Czesława Jankowskiego (ciąg dalszy).—O powołaniach kobiety: Dozorczyni chorých, przez Zofię Seidlerową (dokończenie).—Sen i jawa (wiersz), przez Leona Rygiera.—Genialny robotnik (ciąg dalszy).—Przegląd teatralny, przez L. R.—Odczyty Atanazy Bardzkiego „O umysłowej pracy kobiet, przez Z. S. Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się nowella Kladyusza Sénéchal p. t.: „Na polance.”

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 22).

Od Administracji.

Wszelkie zlecenia księgarskie naszych prenumeratorek Administracya „Bluszczu” załatwia bezinteresownie bez do-liczenia komisowego.

 **Główny Skład** 

ZAKŁADÓW ŻYRARDOWSKICH

Krakowskie-Przedmieście № 55 w Warszawie.

otrzymał na sezon wiosenny i letni:

Plócienna. — Kretony. — Batysty. — Satynki. — Dryliszki
na ubrania męskie, dziecięce i liberyjne.

poleca również: **Gotową bieliznę damską i męską. — Pończochy. — Skarpety. — Płótna. — Stołową Bieliznę. — Ręczniki. — Chustki.**

Dywany. — Firanki. — Portjery.

GOTOWE WYPRAWY od 100 Rubli.

W. Golińska

Gmach Teatralny
poleca

Nowości w zakresie galanterii
**BRONZY, ALBUMY,
NESESERY,
WACHLARZE, RĘKAWICZKI,
RAMKI.**

MAGAZYN MÓD

E. Loth

Saski Plac 5.

poleca w dużym wyborze
KAPELUSZE WIOSENNE
Ceny umiarkowane.

GRONKIEWICZ

Królewska 5.
Telefon 1758 — w Warszawie.

Poleca osoby pracujące w dziale Nauki
i Wychowania, Handlu, Przemysłu, Rolnictwa
i Różne, tylko z dobrymi poufnie sprawdzo-
nymi referencjami.

Magazyn Mebli oraz Zakład Tapicersko-Dekoracyjny

Ant. STRÓMIŁO

25. BRACKA 25.

Poleca całkowite urządzenia apartamentów od najskromniejszych
do najwykwintniejszych. — Stolarnia własna. — Ceny niskie.

 Skład wyrobów gumowych,
Cerat i Środków opatrunkowych i Nowości.

G. EHLERT

Warszawa, Senatorska № 19.
I-sze piętro.



Poleca: **Wszelkie przyrządy chirurgiczne, Płótna gumowe pod cho-
rzech, Termometry, Barometry, Ceraty i Serwety na stoły, Szczoteczki do zębów, Grzebienie. Rakiety i piłki do Lawn-
Tennisu. Oddział Fonografów** czysto oddających muzykę, śpiew i deklamację.

OBSEUGA ŻEŃSKA DLA PAŃ.

FUTRA

Przyjmuje i za-
biera własną ka-
retką bez dopłaty.

KUŚNIERZ JAN RUDZIŃSKI

Marszałkowska 117.

na letnie przechowanie

M. SZAFAŃSKA

powróciła z Paryża i poleca piękne mo-
dele kapeluszy.
Niecała № 1.

Stacja kolei Muszyna-Krynica z Krakowa 7 g. jazdy, ze Lwowa 11 godz. Budapesztu 12 godzin.

Poczta (3 razy dzien-
nie) i urząd telegra-
ficzny w mieście.

KRYNICA

c. k. Zakład Zdrojowy w Krynicy.

W Karpatach 600 m. n. p. m. — Od stacji kolejowej Muszyna — Krynica godzina bitej drogi. Na stacji wygodne powozy.

Srodki lecznicze: Zdroje: „Zdrój główny”, „Zdrój Józefa” bardzo silnej szczawiny wapiennej — i magneziowo-sodowo-żelazistej. Kąpiele mineralne bardzo obfite w kwas węglowy wolny, metodą Schwarza ogrzewane. Nader skuteczne kąpiele borowinowe. Kąpiele gazowe z czystego kwasu węglowego. Skarbowy Zakład hydropatyczny pod kierunkiem specjalisty D-ra H. Ebersa. Kąpiele rzeczne, słoneczne, elektryczne, mięsienie (massage) leczenia dyetetyczne i tere-
nowe. Klimat wzmacniający podalpejski. Wody mineralne krajowe i wszelkie inne za-
graniczne. Kefir, żentycza, mleko sterylizo-
wane. Gimnastyka lecznicza. Apteka. Le-
karz zakładowy: Dr. L. Kopff z Krakowa stale cały sezon ordynujący. Nadto 12 lekarzy wolno praktykujących. Rozległe spacer-
y. Park szpilkowy około 100 morgów. 1500 po-
koi z zupełnym urządzeniem. Kościół rz. kat. Cerkiew. Restauracye. Pensyonaty. Czy-
telnia. Dom zdrojowy. Stała muzyka zdro-
jowa. Stały teatr. Frekwencya w r. 1901 — 6268 osób. Bliższych wyjaśnień na żądanie udziela, broszury i prospekta rozsła c. k. Zarząd zdrojowy w Krynicy.

Vin Saint-Raphaël

rekomenduje się jako toniczne, wzma-
niające i pomagające trawieniu.
najlepszy przyjaciel żołądka.

Brozura d-ra de Barre
o winie St. Raphaël, jako
o pożywnym, wzmacnia-
jącym środku, wysła się
na żądanie.




Smak jego jest wymienny.

**Compagnie du Vin
Saint Raphaël**

VALENCE, DROME,
FRANCE.

Ostrzega się przeciw podrabianiu.

CIECHOCINEK

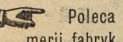
PENSYONAT „ZACHĘTA,
HELENY KUCZAŁSKIEJ

przyjmuje pod opiekę na czas kuracyjny
dzieci i młodzież obu płci. Kuchnia zdrowa
i obfita. Pianino, gimnastyka, masaże, gry
rozmaite na miejscu. Szczegóły za nadesła-
niem marki. — Warszawa, Moniuszki № 9,
od 15 Maja — Ciechocinek.

SKŁAD
PERFUMERYJNO-GALANTERYJNY

MARJI BOJDAKOWSKIEJ

Warszawa, Chmielna № 21.

 Poleca znaczny wybór galanterii oraz perfu-
merji fabryk krajowych i zagranicznych.



FOSFATYNA

FALIERA.

Przyjemny pokarm, najodpowiedniejszy
dla dzieci w wieku od 6-ciu miesięcy do 10
lat, zwłaszcza w czasie odłączania od piersi
i w okresie rośnięcia.

Sprzedaz w Składach Aptecznych i Aptekach.

6-cio klasowy zakład naukowy żeński

S. TOŁWIŃSKIEJ

z dniem 1-ym Lipca 1902 r.
przeniesiony zostaje z ulicy
Chmielnej 48, róg Zielnej, do specjalnie na ten cel wybudowanego gmachu przy
ulicy Ś-ej **BARBARY Nr. 4.**

Egzaminy przedwakacyjne dla nowostępujących uczennic trwać będą od 10 Maja do 4 Czerwca.

Pierwsza w kraju specjalna fabryka

WÓZKÓW i WELOCYPEDÓW

Marszałkowska 53.

poleca: **wózki dziecięce** od rb. 6 — 60.
wózki trzykołowe dla dzieci mogących siedzieć od rb. 8 — 30.
welocypedy od rb. 5 — 15.
wózki fotele dla chorych najnowszych fasonów od rb. 25 — 100.

WYDAWNICTWA T. H. NASIEROWSKIEGO.
NABYWAĆ MOŻNA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH:

Anegdota z życia ADAMA MICKIEWICZA

w oprawie 60 kop.



Co Ojciec Kaziowi o MICKIEWICZU powiedział

z wyborem poezji dla dzieci: Powrót taty. — Pani Twardow-
ska. — Zosia. — Bajki i t. p. **Cena kop. 5.**

Poezje TFOFIŁA LENARTOWICZA:

Błogosławiona. — Zachwycenie. — Cha-
ta pod śniegiem. — Dzieci. — Złota
kaczka. **Cena 20 kop.**

Coppée. Poezje: Błogosławieństwo.
Głowa Sultanki. — Romans Joanny
i inne. **Cena 25 kop.**

Karpiński Franciszek.
Poezje: Laura i Filon. — Bajki. — Sie-
lanki. — Pieśni nabożne. — Powrót na
wieś. **Cena 5 kop.**

Brodziński
Kazimierz **WIESŁAW** **Cena 5 kop.**

ALOIZY ŻÓŁKOWSKI.

Momus i Podpourri
Cena 60 kop.

DIALOGI, MONOLOGI I DEKLAMACJE.
Zeszyt I 20 k. — Zeszyt II 40 k. — Zeszyt III 20 k. — Zeszyt IV 40 k. — Zeszyt V 30 k.
Zeszyt VI 40. — Zeszyt VII 20 k. — Zeszyt VIII 30 k. — Zeszyt IX 40 k.

Album Sztuki Polskiej **Cena w oprawie Rb. 12.**

ODYNIEC Edward Antoni.
Legends: Z życia św. Franciszka
z Assyżu. — Pacierze. — Momento Mori
Trzy wiśnie. **Cena 5 kop.**

KOBIETA.
Zbiór aforyzmów, Myśli, Zdań i przy-
słów o kobiecie. Zebrali Agricola Prosper
Doświadczyński. **Cena 20 kop.**

Skarbczyk Deklamacji.
WYBÓR POEZJI DLA MŁODZIEŻY.
Zebrali Swojostaw.
Cena 50 kop., w oprawie 60 kop.

HELISTAN (Szkice i Obrazki.
I. Żydzia na wsi. II. Obrazki kole-
jowe. III. Obrazki wiejskie, z ilustro-
wał Ark. Mucharski. **Cena 75 kop.**